

XyZ5

„Świat według Rostków”

s. 18-20





w numerze:

REPORTAŻE

KAROLINA MICHALSKA , Serce już biło	3
ANNA BIELA , Molestowanie, krótka droga do piekła	6
ALEKSANDRA WIERZBIŃSKA , „Elfy” na saksach w Anglii	9
KAROLINA CHŁOŃ , Tęsknota za oknem życia, do którego można oddać osoby dorosłe	12
IWONA FILIPIAK , Magister od brudnej roboty	15

WYWIADY

– To cudowne, że świat jest tak różnorodny i za każdym razem zaskakuje nas inaczej! – z SANDRA , fotografką i podróżniczką, współautorką rodzinnego bloga „Świat według Rostków”, rozmawia ANNA BIELA	18
– Łatwiej się o tym słucha, niż przez to przechodzi – z dr inż. arch. MARTĄ URBĄSKĄ , profesorem uczelnianym w Instytucie Historii Architektury i Konserwacji Zabytków Wydziału Architektury Politechniki Krakowskiej, rozmawia MACIEJ WITWICKI	21
– Za kierownicą można się zasiedzieć, a czas płynie nieubłaganie... – z KAJETANEM , zawodowym kierowcą tira, rozmawia IWONA FILIPIAK	25
WF przez internet – z ARTUREM ZEMLAKIEM , nauczycielem wychowania fizycznego w Liceum Ogólnokształcącym im. Bolesława Chrobrego w Pszczynie, rozmawia AGNIESZKA ZEMLAK	28
– Na zmiany nigdy nie jest za późno... z JOANNĄ FLOREK , laureatką nagrody Top Young 100, o tym, jak zostać studentem sukcesu i nie iść utartym szlakiem, rozmawia KAROLINA MICHALSKA	30

RECENZJE

ANNA BIELA , Życie szybko, umrzeć młodo	34
ALEKSANDRA WIERZBIŃSKA , Książka, której nie wyrzucę	35
AGNIESZKA ZEMLAK , Zanurzyć się w myślach	36
KLAUDIA MAKLES , Yes, She Can!	37
IZABELA SZERSZEŃ , Chłopaki powinny się rozptakać	39
MARIKA DOMAGAŁA , Mieć rodzinę, pracę i rzucić to	40
MACIEJ WITWICKI , Oczy „Psów 3” wciąż zachwycają	42
IWONA FILIPIAK , Groza i... śmiech	43
ANNA SEIMIVSKA , Zagrożona młodość	45
DOMINIKA WIŚNIEWSKA , – Wolę stracić życie, niż biernie patrzeć, jak niszczy mój dom	46

FELIETONY

KAROLINA CHŁOŃ , Dzień, kiedy w domu skończyła się kawa	47
KLAUDIA MAKLES , Rodzice nastolatków nie mają racji	49
IZABELA SZERSZEŃ , Pandemia 2.0, czyli życie z Panem Wirusem	50
ANNA SEIMIVSKA , Jak umilić ludziom życie...	52
MACIEJ WITWICKI , Cyrk między celą a spacerkiem	53
DOMINIKA WIŚNIEWSKA , Zbyszek! Jak Wodecki!	54

Ode mnie:

Kiedy w połowie października ub. roku – inaugurując nowy kurs dziennikarski w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Pedagogicznego im. KEN w Krakowie noszący nr 13 – zwróciłem się do słuchaczy, mówiąc: *Mam nadzieję, że nie cierpią Państwo na triskaidekafobię, czyli paniczny strach przed liczbą trzynastą*, nie przypuszczałem, że wypowiadam te słowa w złej chwili, że za kilka miesięcy spadnie na nas nieszczęście.

Byłem przekonany, że w roku 2020 – numerologicznie niezwykle ciekawym, z tymi samymi podwojonymi liczbami (w wersji rzymskiej MMXX) i sumą liczb cztery symbolizującą cztery żywioły i cztery strony świata – nic złego nie może się wydarzyć.

A jednak w pierwszym półroczu tzw. roku autobiograficznego (liczba 2020 jest jedną z siedmiu takich liczb: 1210, 2020, 21200, 3211000, 42101000, 521001000, 6210001000) dotknął nas koronawirus COVID-19, uzależniając nas na długie miesiące w domach. Zawieszone zostały zajęcia na uczelniach, a tym samym i na kursie dziennikarskim nr 13.

Dlatego z tym większą przyjemnością i satysfakcją odnotowuję fakt, że wspólnie ze słuchaczami udało nam się przygotować i wydać piąty numer magazynu Kursów Dziennikarskich w Instytucie Filologii Polskiej UP „XYZ”.

Nielatwo było napisać w okresie epidemii i lockdownu (zakazu wychodzenia z domu i podróżowania, kontaktów z ludźmi) wartościowe reportaże czy ciekawe rozmowy z kimś, kto na to zasługiwał.

Ale wielu słuchaczom kursu nr 13 to się udało. Okazało się, że potrafią oni również przygotować dobrą recenzję czy spełniający kryteria gatunkowe felieton, chociaż pod okiem wytrawnych specjalistów w tej dziedzinie prowadzących warsztaty należało się mocno napracować.

Finis coronat opus. Gratuluję i dziękuję autorom oraz p. Joannie Sroce, graficzce, która od lat z nami współpracuje, by od strony edytorskiej każde wydanie magazynu „XYZ” trzymało poziom profesjonalny. Zapraszam do lektury.

Maciej Malinowski

redaktor naczelny „XYZ” nr 5



– Chcę dać dzieciom tyle miłości, ile jestem w stanie. Mogło jej być na troje, teraz będzie na dwoje

Karolina Michalska

Serce już biło

– To był szósty tydzień, jak jechałam do Czech. Moja przyjaciółka Iwona do końca miała nadzieję, że się rozmyślę. Czekala, aż powiem: „Zawróćmy”. Miotalam się, ale więcej argumentów przemawiało za tym, żeby to zrobić. To była chyba najdłuższa droga, jaką w życiu przejechałam. Iwona rozumiała sytuację. W młodości też miała już wszystko nagrane. Nawet ceny się nie zmieniły. Zrezygnowała w ostatniej chwili. Dobrze zrobiła, bo teraz trudno by jej było zająć w ciążę. Gabrys to jej jedyne dziecko.

Klinika okulistyczno-ginekologiczna znajdowała się w dolinie, w pobliżu rynku. Z jednej strony cmentarz, z drugiej kościół, a pomiędzy nimi wyrastał szeroki, parterowy budynek w kolorze tandetnego różu. Na parkingu stały wyłącznie samochody z polskimi rejestracjami.

Czuła napięcie. Chciała tam pójść sama, ale Iwona upierała się, że będzie z nią, że jej nie zostawi. Wszystkie kobiety czekające w środku przyjechały z partnerami, mężami, chłopakami. Tylko ona przyjechała „sama”. Ogarnęła ją niewymowna przykrość.

– Miejsce to znalazł mi mój mąż. Najpierw była Słowacja. Długo się wahałam, ale w końcu zadzwoniłam. Nie mieli wolnych terminów, należało się zapisać z dwutygodniowym wyprzedzeniem. Zadzwoniłam jeszcze raz, po paru dniach. Nikt się nie przedstawił. Ja też nie. Nie wiedziałam, jak o tym mówić.

Za pierwszym razem powiedziano mi, że trzeba zrobić badania, że na miejscu będę miała opiekę i przydzielony

pokój, że nawet transport zapewniają. Bus kursuje trzy razy w tygodniu z Krakowa na Słowację. Zabiera kobiety umówione na konkretny dzień i zawozi je na samo miejsce, a później odwozi.

– Musi pani podjąć decyzję jak najszybciej, bo potem może się okazać, że w busie zabraknie miejsc i będzie problem. Nie zdecydowałam się.

– O ludzkim życiu rozmawiamy. Zależy, jak na to patrzysz. On uważał, że to był embrion, zarodek, że to nic takiego, że to jeszcze nie człowiek. Kiedy poszłam na USG, widziałam, jak mu serce bije, bo to serce już biło. Widziałam i słyszałam.

Potem była druga próba. Czechy. Konsultant bardzo dobrze mówił po polsku. Przez przypadek okazało się, że jest polskim lekarzem. Nie pytał o imię i nazwisko. Myślał, że jestem młoda. A ja już przecież mam dwójkę dzieci. Doradzał, że trzeba to zrobić jak najszybciej, bo aparatura USG nie pokazuje czasem dokładnych danych. Powiedział, że nie muszę wykonywać żadnych badań, wszystkie potrzebne zrobią mi na miejscu.

Umówiłam wizytę. Pełna anonimowość. Jestem „Kraków na godzinę 10”.

Kobieta na recepcji łamaną polszczyzną poprosiła mnie o podanie tygodnia i miejscowości. O nic więcej nie pytała. Chciałam jej dać wyniki badań, które i tak zrobiłam, bo na Słowacji to był wymóg.

– Nie trzeba, wszystko u lekarza.

► Wygląd poczekalni przywoził na myśl ośrodki zdrowia sprzed kilkunastu lat. Przy wejściu stała szeroka lada w kolorze brązu. Niczym nie wyróżniała się na tle beżowopomarańczowych ścian, brązowych płytek na podłodze i krzesełek w tym samym kolorze, rzędem ułożonych pod ścianą. Nad szafkami z kartotekami wisiał szeroki na metr obraz utrzymywany w palecie szarości, czegoś brudnego. Zamknięty w czarnej ramie, przedstawiał klęczącą, nagą kobietę o długich czarnych włosach. Na jej twarzy malowało się cierpienie i szaleństwo. Młoda, obłąkana kobieta z nienaturalnie pokrzywionym obliczem...

Nad brązowymi krzeselkami, które zajęte były przez oczekujące w kolejce pary, wisiał kolejny. Tym razem dwie kobiece postacie. Splecione w uścisku młodych i starczych ramion, jakby chciały w tym przytuleniu połączyć dwa odrębne pokolenia matki i córki, zdradzały się szaleńczym wyrazem twarzy. Obłąkanie pomieszane z niepokojącym napięciem.

Odnosiło się wrażenie, że one już TO przeszły albo przeżyły jakąś tragedię. Może życie je mocno czymś doświadczyło albo po prostu były opętane. Choć wyglądały pięknie i miały idealne kobiece kształty, ich twarze wywoływały niepokój. Dziwna nienaturalność w nich tkwiła. Te twarze po prostu budziły strach. A może nie tylko twarze?

Ponurość obrazów potęgowała nerwowość tego miejsca. Albo na odwrót. Wyczuwało się napięcie i podenerwowanie w ruchach czeskich pielęgniarek krążących w poczekalni od jednych drzwi do drugich. Od czasu do czasu kobiety szeptały coś do siebie i ukradkiem zerkwały na siedzących. Jedna z nich trzymała w ręce telefon, jakby spodziewała się, że ktoś nagle do niej zadzwoni.

Czekającym kobietom i mężczyznom udzielał się ten sam nastrój. Może było w nim trochę więcej smutku i niepokoj.

Było nas sześć par. Wszystkie umówione na godzinę 10. Pieniążki. Pielęgniarki ciągle powtarzały, że pieniądze trzeba trzymać przy sobie. Do lekarza zabrać. Kilka razy o tym przypominały. Nikt cię nie zapytał o badania, tylko do lekarza z pieniżkami.

Drugi pokój. Gabinet lekarski. Ławka, fotel ginekologiczny, stolik, próbki z krwi i obraz. Głowa człowieka, a dokładniej jego popiersie z profilu. To chudy mężczyzna. Widać zarys kości obojczyka. W miejscu mózgu kłębią się kości powiązane sznurkami. Istna płatanina.

Szkicowany ołówkiem, widać zarys ust i nosa, ale to, co mu się roziło w głowie... Straszny był. Chyba wywarł na mnie największe wrażenie. Chciałam wyjść jak najszybciej. Już mieć to za sobą.

Lekarzowi trzęsły się ręce. Nagle przez myśl mi przeszło: jak on mnie będzie operował, skoro mu się ręce trzęsą? Zaczęłam go dopytywać o zabieg. Chcę się dowiedzieć, co i jak.

– Ale jest pani dociekliwa.

Będzie operował przy znieczuleniu ogólnym, bo on nigdy klientki nie naraża na ból. Bo to jest ból. Jakby to był tylko ból fizyczny...

Panie doktorze, choroby współistniejące mam. Wręczam mu badania.

– Proszę mi tego nie mówić. Jak będzie anestezjolog, to mu pani wszystko powie. Nie przeliczył pieniędzy. Włożył kopertę do szuflady.

Następne drzwi. Szatnia. Tam miałyśmy się rozebrać, włożyć koszulę, zostawić rzeczy osobiste, przygotować podpaskę i zaczekać. W całym budynku było bardzo zimno. A może to tylko mnie tak było zimno?

Rozmawiam z blondynką z Gliwic.

Co wpadka?

– No... wpadka.

Mama 14-letniej córki mówi, że nie ma zamiaru pchać się znowu z mężem w pieluchy. Próbowalam się przed nią usprawiedliwiać. Że mogłoby być chore, mieć wady genetyczne, że nieświadomie piłam alkohol, że może będzie czuło, że nie jest kochane, bo niechciane.

A ja to się cieszę, że się tu dostałam. Ale to wszystko długo trwa! Jestem już taka głodna. Nowa pielęgniarka kategorycznie zabroniła zabierać cokolwiek ze sobą.

– Nic nie wolno wносить, tylko podpaskę.

Ale ja muszę pokazać badania anestezjologowi.

– Nie, to mu pani powie...

Dokładnie nie pamiętam rozmieszczenia sprzętów. Tylko zielony, trochę podniszczony koziołek, fotel porodowy, wystający na środku sali na tle białych ścian i zielonej podłogi wyłożonej kafelkami.

Byłam przerażona. Nie da się tego do niczego porównać. Jest stres, bo nie wiesz, co cię czeka, a z drugiej strony masz świadomość, że idziesz zabić.

Kolejny obraz, który utkwił jej w głowie. Ten jest bardziej realny. Pod zielonym fotelem, dokładnie w miejscu jego lekiego wyżłobienia, położona była metalowa miska. Wokół miski żółte plamy po jodynie. Wytarte do białości płytki.

– Kiedy się położyłam, wtedy dotarło do mnie, że nie ma już odwrotu. Pielęgniarka usiłująca wbić mi igłę nie miała ani maseczki na twarzy, ani rękawiczek. Coś poszło nie tak, bo na zgięciu prawej ręki pojawiła się smużka krwi. Wyglądała na równie mocno podenerwowaną jak ja. Nic się nie odzywała ani o nic nie pytała. Druga powiedziała tylko, że muszą mi nogi przywiązać, żebym po narkozie nie osunęła się z fotela.

Odnosiło się wrażenie, że ruchy pielęgniarek są mechaniczne, wyuczone, jakby zaprogramowane do wykonywania tych samych czynności.

Pytam o anestezjologa. Pojawia się nagle znikąd i trzyma strzykawkę w dłoni. Patrzę na niego. To starszy, łysawy, przygarbiony mężczyzna o smutnych niebieskich oczach. Nie było żadnego wywiadu.

„Przecież muszę mu powiedzieć. Muszę. Przecież on nie wie nawet, jaką ja mam grupę krwi. Nie wie, ile ważę. Nic nie wie”.

Pokiwał głową ze zrozumieniem, nachylił się nade mną i w delikatnym uśmiechu powiedział: – Dobranoc.

Uwierz mi, że nigdy w życiu tak się nie bałam. Wiesz, co sobie pomyślałam? Co będzie z moimi dziećmi, jak się nie obudzę? Kto się nimi zajmie, zaopiekuje? I zasnęłam. Dosłownie od razu, nawet minutę to nie trwało. Strzykawka z białym płynem...

Obudziła się w wielkiej sali z siedmioma, może ośmioma łózkami. Wszystkie zajęte przez kobiety, które wcześniej widziała w poczekalni. Śmiały się i żartowały. Leżała przykryta pierzyną na drewnianym łóżku. Pościel miała niebiesko-pomarańczowy kolor. Jedynie dziewczyna z tatuażami leżała cicho skulona obok. Płakała.

– Myślałam, że zabiorą nas na USG, wykonają jakieś badanie lekarskie po zabiegu.

Pielęgniarka przyniosła nam kompot w dzbanku i powiedziała, że za 10 minut mamy się udać do szatni po rzeczy.

W szatni siedziałam długo. Chyba za długo, bo w końcu do pokoju wpadła pielęgniarka z recepcji wraz z lwoną. Kazała mi się ubierać, ponaglała mnie, a ja trwałam bez ruchu. Tak bardzo nie miałam siły.

Płaczę, kiedy o tym mówi. Cisza. Jeszcze więcej ciszy.

– A potem przyszło uczucie ulgi i pustki. I straszny żal. Dlaczego mnie to spotkało, dlaczego to zrobiłam? Chciałam nadać temu sens. Określić się zawodowo, znaleźć pracę, jakoś poukładać sobie to życie. A tymczasem wcale nie jest lepiej. Zawsze będę się z tym zmagać. Jestem zmęczona, oziębła w uczuciach. Jeśli była to nasza wspólna decyzja, moja i męża, to on powinien tam ze mną być.

– Gdy słyszę słowo „Czechy”, to mam dreszcze. Nie, nie dopuszczam nawet myśli, że miałabym kiedykolwiek do takiego miejsca jeszcze raz jechać. W celach turystycznych do Czech też nie. Nigdy.

Musiałam udawać przed rodzicami, bratem i całą resztą, że wróciłam ze spa. I że czuję się świetnie. Taki jednolity wypadek relaksacyjny z przyjaciółką. W nocy miałam koszmary. Wydawało mi się, że słyszę płacz dziecka. Dwa tygodnie bezsenności, chodzenia w nocy od kuchni do sypialni i sprawdzania pokoju dzieci. W końcu zaczęłam łykać leki nasenne. Później już tylko wizyty u psychologa.

Z wykształcenia jest filologiem polskim. Naprawdę chciała być nauczycielem. Mówi, że rozwiozła około 100 podań. Miała nadzieję odbyć staż, ale się nie udało. Po paru latach, kiedy znalazła pracę w szkole jako sekretarka, zaszła znowu w ciążę. Perspektywy zawodowe odeszły na drugi plan.

Razem z mężem podjęli decyzję, że to będzie już ostatnie dziecko. Pogodziła roczne szkolenie z rejestracji medycznej z wychowywaniem dzieci. Od marca miała iść na staż do szpitala. Miała plany i marzenia.

– Myślałam, że mi się w końcu uda, że się odbiję i zacznę robić coś ze swoim życiem zawodowym, że będę miała pracę jak moi rówieśnicy. Ale stało się to...

Chciała stworzyć coś od podstaw. Jakies pięć lat temu zaczęli budowę. Dom miał być spełnieniem marzeń o małym, własnym świecie. Wprowadzają się za miesiąc.

– Owszem, cieszę się, że jest prawie gotowy, że go pięknie wykończyliśmy, ale to nie taka radość, jakiej się spodziewałam. Gdzieś to wszystko uleciało. Za dużym kosztem ten dom budujemy.

Opisuje go lapidarnie. Jest surowy, pasywny, w nowoczesnym stylu. Dużo w nim czerni, bieli i szarości. Liczne przeszklenia sprawiają, że będzie przejrzysty, wpada do niego sporo światła. Otwarta przestrzeń nad salonem, ogromne okno z widokiem na góry. Mówi, że przez te kolory zabraknie w nim ciepła.

Ciepła zaczyna też brakować między nimi. Od tego wydarzenia znacznie się od siebie oddalili. Żyją jakby w dwóch odrębnych światach, które czasem gdzieś się spotykają. Wspólnie już tylko dzielą mieszkanie, sypialnię, piją czasem z tego samego kubka. Wychowują razem dzieci. Niby nic się nie zmieniło. Jeżdżą na budowę, na urodziny, do teściowej, na plac zabaw, do sklepu. Razem robią wiele rzeczy, ale jakby osobno. W wolnym czasie ona lubi chodzić sama po górach. On woli majsterkowanie przy jeepie. Już nie śmieją się razem z tych samych rzeczy. Już zaczęła przeszkadzać obecność.

– Chciałabym teraz jak najwięcej dać z siebie światu i ludziom. Skoro jemu odebrałam te szanse, to chociaż po części muszę je odkupić swoim życiem. Chcę dać dzieciom tyle miłości, ile jestem w stanie. Mogło jej być na troje, teraz będzie na dwoje.

Bohaterka reportażu ma 31 lat, jest mamą pięcioletniej dziewczynki i rocznego chłopca.

W Czechach dokonała aborcji.

KAROLINA MICHALSKA

Molestowanie, krótka droga do piekła

Anna Biela

– Przez kilka lat nie mówiłam o tym nikomu, lecz pewnego wieczoru nie wytrzymałam i po wypiciu butelki wina u przyjaciółki wyrzuciłam z siebie wszystko – zaczęłam płakać. Niechciane wspomnienia wracają niczym bumerang...

Gabriela* ma 25 lat i mieszka niedaleko Warszawy. Jest blondynką średniego wzrostu, ukończyła kulturoznawstwo, zaczęła pracę w teatrze (chwilowo jako bileterka). Dawniej towarzyska, radosna, uwielbiająca wychodzić ze znajomymi na miasto. Obecnie organizująca różne eventy i udzielająca się charytatywnie. Teraz jest spokojna, wycofana, stroniąca od ludzi.

Od lat próbuje zapomnieć o kilku sytuacjach, które wydarzyły się w jej życiu.

„Nigdy więcej nie patrz na mnie takim wzrokiem”

– Pierwszy raz, który uważam za przekroczenie granicy, zdarzył się, zanim jeszcze poszłam na studia, jakieś siedem lat temu. Miało to duży wpływ na moją psychikę, ponieważ moją strefę komfortu przekroczyła osoba z bliskiego mi otoczenia, którą znam od dziecka. Molestowanie przyjęło formę niechcianego dotyku. Zaczęło się niewinnie od łaskotek, a przy okazji dotknięcia piersi, niby niechcący. Wyrwałam się, śmiejąc się podenerwowana, zażenowana, zła, przestraszona. Nie wiedziałam, jak się zachować. Zrobił to mąż mojej kuzynki.

– Od zawsze oboje traktowałam ich jak rodzeństwo. Po tej sytuacji wmawiałam sobie, że to niemożliwe, że wszystko jedynie mi się wydawało. Przy każdym naszym następnym spotkaniu czułam niepokój. Starłam się już nigdy nie zostawać z nim sama, niestety w ciągu miesięcy, lat było to prawie niemożliwe.

– Sytuacja powtórzyła się jeszcze dwa razy. Scenariusz był podobny: zającie od tyłu i łaskotanie, podobno przypadkowe muśnięcie okolic intymnych. Zawsze kiedy już zdążyłam sobie wmówić, że coś mi się wydawało, że to niechcący zjechała komuś ręka, znowu się zaczynało – wspomnienia wracały.

– Za trzecim razem przy tych niby-żartach przewrócił mnie na podłogę, wyrwałam się, przesłam po jego nogach i już wiedziałam, nie miałam wątpliwości, nic mi się wydawało, żaden dotyk nie był przypadkowy. Roztrzęsiona, krzyknęłam: „To podchodzi pod molestowanie!” i uciekłam.



– Nigdy nie zdradziłam tego kuzynce, ponieważ na poróżnieniu tworzą szczęśliwą rodzinę. Jak bym mogła to rozwalić? Moje słowo przeciwko jego? Z nim również nie wróciłam do tego tematu. Sytuacja już nigdy się nie powtórzyła, lecz trauma została – opowiada Gabrysia.

– Wspomnienia samoistnie wracają, znienacka, najczęściej pod osłoną nocy. Czasami o tym zapominam, chcę zapomnieć i znowu wmawiam sobie, że może naprawdę były to tylko żarty, ale przecież tak się nie żartuje... Są momenty, kiedy nasze spojrzenia się spotykają, i wtedy mam ochotę krzyknąć:

„Nigdy więcej nie patrz na mnie takim wzrokiem!”

– Minęło tyle lat, a ja nie umiem zapomnieć, płaczę po nocach, budzę się podenerwowana, wspominam i analizuję w głowie wszystko po raz setny. Obawiam się o ich relację, o naszą rodzinną „więź”. Między mną a nim już została zerwana, zniszczona, zaprzepaszczone, ale przecież inne więzi trwają.

– Jak odbudować zaufanie? Patrzę i nie wierzę, jak moment łaskotek, chwilowy dotyk trwający ułamki sekund może zrujnować życie, wspólne, miłe, rodzinne wspomnienia i nastawienie do drugiej osoby.

Zniknij, przepadnij, zgiń

Druga historia jest gorsza, trudno było nam o niej rozmawiać. Polały się łzy. Gabrysia nie do końca wiedziała, czy chce o niej wspominać. Stwierdziła jednak, że skoro już zaczęła temat molestowania, to należy go dokończyć.

– Były wakacje, odpoczynek od studiów, pierwszy rok za nami, brak jeszcze wtedy pracy, piękna pogoda, ogniska, imprezy, domówki. Pełno znajomych, muzyka, śmiech, radość i bez troska. Pewnego razu na jednej z takich domówek, gdzie czułam się bezpiecznie, miałam tam nocować, wydarzyło się coś, co zniszczyło mnie wewnątrz, emocjonalnie, wysssało wręcz duszę.

– Po imprezie poszłam wziąć prysznic. Zazwyczaj nie kąpię się u kogoś, jednak znajomi palili papierosy, zioło, czułam to wszystko również na sobie, po prostu musiałam, chciałam to zmyć. Weszłam do łazienki, nie było klucza. Pomyślałam, że na co dzień w domu mieszkają małe dzieci, więc pewnie dla tego go schowano. Wzięłam prysznic, to znaczy byłam w jego trakcie, cała w pianie, myłam włosy. Nagle zabrakło wody.

„Trzecia nad ranem i nie ma wody?” – zdziwiłam się. Stałam zdezorientowana – było mi zimno. Nie wiedząc, co zrobić, zaczęłam całą pianę wycierać ręcznikiem, kiedy bez uprzedzenia do łazienki wszedł chłopak, który od jakiegoś czasu nie dawał mi spokoju, jak to mawiali inni chłopcy – podbił mnie.

– Krzyknęłam: „Co tutaj robisz? Wyjdź!”. On nie wyszedł, a ktoś zamknął od drugiej strony drzwi na klucz. Podgło-

śniono muzykę, powiedział, że moja przyjaciółka z drugą koleżanką pojechały jeszcze po inną znajomą. Dodał, że nikt mnie nie usłyszy, a woda nie zostanie puszczona, dopóki on nie wyjdzie z łazienki. Był dobrze zbudowany, silny, trenował sztuki walki – kontynuuje Gabriela i zanoszą się łzami. – Nie miałam szans...

– Później było mi wstyd, nie wiedziałam, co mam wszystkim powiedzieć, skoro to byli nasi wspólni znajomi. Nikt nic nie widział, a ja do dziś nie wiem, kto zamknął drzwi. Stopniowo zerwałam kontakt ze wszystkimi, poza przyjaciółką. On był dobrze postawionym chłopakiem, za którym stali bogaci rodzice, nie odważyłam się pójść na policję. Do teraz zastanawiam się, czy nie powinnam tego zgłosić, zanim sprawa ulegnie przedawnieniu, lecz ile razy o tym pomyślę, odpuszczam, nie mam już siły. Jestem emocjonalnym wrakiem człowieka. Boję się, że nastanie znowu taki dzień, kiedy ktoś przekroczy w podstępny sposób moje granice. Niejeden raz powtarzałam jak mantrę „Zniknij, przepadnij, zgiń!”, szczerze go nienawidzę.

– W towarzystwie jestem jak czujny pies, wyczulona na każde słowo, każdy gest. Zdarzyło się, że kiedy znajomy powiedział coś, co uznałam za obrazę, wylałam mu prosto w twarz drinka. Nie umiem podchodzić do relacji damsko-męskich na luzie, wszystko traktuję na serio. Kiedy ktoś mnie tylko muśnie, przelotem, nie chcący – spinam się. Moje myśli bardzo często wracają do tych zdarzeń w najmniej oczekiwanym momencie. To takie złe flashbacks.

– Długo chodziłam na terapię, jednak o tych sytuacjach nie wspominałam swojej terapeutce. Rok cotygodniowych spotkań to za mało, żeby otworzyć się przed kimś. Większość sesji terapeutycznych poświęcałam na rozmowę o problemach z życia codziennego. Unikałam niewygodnych tematów. Potrzeba czasu, żeby otworzyć się przed kimś, czasami jest to miesiąc, a czasami parę lat. Obawiałam się, jak spojrzę na mnie osoba, która mnie nie zna. Zawsze byłam wzorową uczennicą, niosącą pomoc innym, a tu nagle coś takiego....

– Ostatnio postanowiłam znowu pójść do terapeutki. Wiem, że powinnam znaleźć w sobie siłę, by to wszystko nie odbiło się na moim przyszłym życiu. Wyleczyć psychikę, przepracować problemy, aby móc odnaleźć się w związkach i w dorosłym świecie, nie błądząc gdzieś daleko myślami i nie popadając w jeszcze większą depresję.

Pomaluj mój świat, na żółto i na niebiesko

– Tak, popadłam w depresję. Zaczęło się kilka lat temu, po pierwszym incydencie. Nie chciałam wychodzić z domu. Rodzice nie zauważyli. Zajęci swoim życiem, myśleli, że siedzę tylko i patrzę w komputer, nadrabiając zaległości ►

► w świecie muzyki czy też seriali. Prawie nie patrzyłam, spałam, płakałam w poduszkę i gryzłam się. Przestałam dostrzegać sens życia, nie widziałam, żeby komukolwiek naprawdę na mnie zależało. Czułam się przygnębiona i samotna. Chciałam zasnąć, przespać wszystko lub umrzeć.

– Miewałam fatalne tygodnie, ale i dobre dni. Uświadomiłam sobie, że mam depresję dopiero wtedy, gdy przybrała na sile. Po drugim zdarzeniu zaczęłam mieć problemy ze snem, budziłam się w nocy z krzykiem, w dzień chodziłam jak zombie. Znajomych spławiałam. Celowo nie odbierałam telefonu albo mówiłam, że źle się czuję. Typowe zachowanie osób chorych na depresję – izolacja.

– Jednak były i takie przyjaciółki, które nie wyszły ode mnie z pokoju, dopóki i ja nie wyszłam. Czasami stały w drzwiach i czekały, kilkadziesiąt minut, aż się podniosę z łóżka. Wyciągały mi ubrania z szafy i kazały się przebrać. W końcu poddawałam się, wstawałam i wychodziłam. W większym gronie znajomych udawałam, że mam świetne życie, że jestem szczęśliwa, zabawna. Depresja to choroba, często przez innych niedostrzegalna. Nauczyłam się przybierać maskę na twarz, nie jedną, ale kilka. Grałam, sama przed sobą udawałam.

– Odsobnienie i myśli o śmierci to nie wszystko, był również incydent z narkotykami, nawet nie jeden. Chciałam odreagować, zapomnieć, zapomnieć o wszystkim, co się wydarzyło w moim życiu. Nikt, kto nie brał, nie zrozumie, dlaczego młodzież tak chętnie po to sięga... Nie ma leków, które by tak zadziałały na psychikę, pozwalających poczuć się równie dobrze. Sto metrów nad ziemią, z energią i radością, lecz to wszystko chwilowe, złudne uczucie. Wyniszczająca używka, zawsze o tym wiedziałam, mówiłam lata wcześniej: nie wezmę, a jednak wzięłam. Nigdy nie byłam uzależniona, ale to prawda – kto raz wziął, chce poczuć to wszystko raz jeszcze. To taka kredka, która w końcu działa, kiedy śpiewasz:

*„Pomaluj mój świat na żółto i na niebiesko (...)
więc chodź, pomaluj mi życie,
Niech świat mój się zarumieni,
Niech mi zaśni w pełnym słońcu,
Kolorami całej ziemi”.*

– Czuję do siebie złość za to, co się wydarzyło w moim życiu. Nie odpowiadałam za napady na tle seksualnym, ale moje lęki, załamania są przykrą konsekwencją właśnie tego. Kiedy do traumatycznych przeżyć dochodzą problemy dnia codziennego, psychika w końcu wysiada.

W 2017 roku za sprawą Instagrama cały świat zaczął żyć akcją #MeToo, a wiele kobiet zobaczyło, usłyszało wtedy, że nie są same, i odważyło się mówić o tym, co je spotkało – ja z czasem również. Dzięki tej akcji zrozumiałam, że nie mam się czego wstydzić, że problem nie leży we mnie, że bycia ofiarą się nie wybiera. Nękanie może przyjąć różne formy: od „nieszkodliwych” zwrotów, tekstów kierowanych do drugiej osoby po dotyk i wymuszone czynności seksualne. Ja niestety spotkałam się z każdą z nich, za każdą zapłaciłam swoim zdrowiem. Depresja, załamania nerwowe, używki. Powrót do normalności wiele mnie kosztuje.

Ta rozmowa była dla Gabrieli skrajnie wyczerpująca. Nie odważyłaby się o tym mówić głośno, gdyby nie jej przyjaciółka, która przekonała ją do tego, by wyrzuciła to z siebie raz jeszcze, że może w ten sposób pomoże sobie i innym. To dla niej wstęp do psychoterapii, do nowego życia. Moment zapanowania nad demonami przeszłości, wewnętrzna siła do odrodzenia swojej duszy na nowo.

ANNA BIELA

**dane personalne bohaterki zostały zmienione*



„ELFY” na saksach w Anglii

Aleksandra Wierzbińska



9

Zanim usiądziemy przy wspólnym stole, by połamać się opłatkiem i wręczyć prezenty, w angielskiej fabryce stają koło siebie polskie sprzątaczkі i nauczyciele, studenci i alimenciarze, złodzieje i ministrowie, matki i córki. Za produkcję i pakowanie tego, co potem z radością rozpakujemy, otrzymają najniższą krajową stawkę oraz odciski i poranione palce.

Nadmorska miejscowość Poole na południu Anglii bywa często wybierana przez emigrantów ze względu na liczne fabryki. Wśród nich jest zakład produkcji i dystrybucji naturalnych kosmetyków jednej z popularnych marek. Departament pakowania kosmetyków w bożonarodzeniowe zestawy prezentowe przywołuje na myśl pracę „elfów” – pomocników św. Mikołaja.

Czy rzeczywistość pracujących tu Polaków pozostaje równie kolorowa jak w bajkowej opowieści?

Jest tłoczno, bo już teraz, w październiku, przyjeżdżają tu dziesiątki sezonowych pracowników. Zakładam obojętne *safety shoes* i zaczynam spacer od ogromnej hali z kilkoma liniami, po których w szybkim tempie suną kosmetyki, pudełka i prezenty. W fabryczny świat wprowa- ►

- dziają mnie hałasujące maszyny, klaksony wózków widłowych i intensywne zapachy.

Na linii

Małgorzata (62 lata) zarabia niecałe 9 funtów na godzinę. Ma stały kontrakt.

Pochodzi spod Lublina, wyemigrowała po otwarciu granic w 2004 roku. Wcześniej pracowała w zakładach mleczarskich. Jej mąż zmarł kilka lat temu na raka, córka wyszła za mąż i mieszka pod Londynem. Kobieta wynajmuje pokój od małżeństwa Brytyjczyków (za 350 funtów).

Jej opowieść co chwila przerywa suchy kaszel, od dziesięciu lat pali dziennie paczkę papierosów.

– Teraz mamy naprawdę dużo ludzi, wszystkich biorą, ale oni będą powoli odpadać, po świętach parę osób zostawia. Jak chcesz zostać na stałe, to musisz się wykazać i modlić, żeby dali kontrakt. Będą teraz obserwować, kto zna język, kto szybko pracuje. To taka męcząca bardzo robota, cały dzień wiązać sznureczki, składać, różne są rodzaje tych pudełek, papierów. Ja niektórych to dalej nie znam i się mylę. Pył z tych kosmetyków jest wszędzie, jak ktoś długo pracuje, to na płuca siada, kaszle się cały czas. Ale jak mam siłę, to lubię i stać na nadgodzinach, nawet przez cały tydzień, bo pieniądze teraz znowu dobre. Myślę, że jak spłacę kredyty, to zacznę dla siebie odkładać. Do Polski raczej nie wrócę, może do córki pojedę. Chociaż wołałabym, żeby ona przyjechała do mnie, bo tam w Londynie to słyszę cały czas, jak niebezpiecznie. My się cieszymy, że ciapatych tu za dużo nie ma, bo naszych to rozumiem, jak popiją i poszaleją – a taki to strach, czy nie terrorysta. Ja to każdego lubię i szanuję, ale im nie ufam ani w pracy, ani do ich sklepów nie chodzę, bo patrzą się na nas jak Angole, jak na obcych. Może po brexicie trochę ich wyparuje, ale kto wie, co to będzie. My cały czas o tym rozmawiamy, ale nic mądrego nie wymyśliliśmy, bo tu każdy się zastanawia, a nic nie wie. Ale ja się nie martwię, bo załatwiam na bieżąco wszystkie dokumenty i zostanę na pewno, córka tak samo.

Małgorzata dodaje, że została kilka razy okradziona w pracy, za każdym razem w czasie przedświątecznego naboru nowych pracowników. Jak twierdzi, młodzi nie mają skrupułów by okraść starą babę. Dwa razy okradli ją młodzi mężczyźni z Polski. Kuzyn jednego z nich, Łukasz, pracuje w magazynie.

W magazynie

Łukasz (30 lat), pracownik magazynu, zarabia niecałe 9 funtów na godzinę. Od roku ma stały kontrakt.

Do Anglii przyleciał z Łodzi dziesięć lat temu. Nie wiodło

mu się w życiu osobistym i w pracy, więc postawił wszystko na jedną kartę: rozwiódł się, wynajął mieszkanie studentom i przyleciał. Tu ożenił się z Polką, która również przyjechała za pracę. Oboje są po technikum. W Anglii zrobił kurs wózków widłowych i jako operator pracuje w magazynie. Jego żona dorabia jako kosmetyczka – jej klientkami są znajome Polki z okolicy.

– Od półtora roku jestem w tej fabryce. Razem z żoną wynajmujemy kawalerkę w Boscombe za 750 funtów miesięcznie; to taka niby gorsza dzielnica, ale tania i Polaków dużo. Jakoś leci tu życie, kasa jest, znajomi są, nad morzem okej. Wcześniej pracowałem trzy lata w magazynie w polskim sklepie, no to widzę różnicę. Tam kilka osób mieliśmy, tu pełna hala ludzi, nie poznasz się nawet z każdym. Mnie to denerwuje, bo utrudnia pracę, nie wiem, kogo zawołać, jak potrzebuję pomocy na załadunku. Skupić się trzeba, piwka przed pracą nie wypiję. W sezonie to czasem z alkomatem po fabryce chodzą. Moją koleżkę w zeszłym roku tak przyłapali i wyrzucili. Do tej pory na socjalu siedzi, nic znaleźć nie może na stałe. No może ręk do pracy teraz więcej, ale trudniej się pracuje. Najgorzej jest z Rumunami, bo ich więcej teraz się pcha, a po angielsku mało kto umie, to się nie idzie z nimi dogadać. Najlepiej się latem pracuje, bo bez tłumów, na spokojnie. Te miesiące teraz, listopad i grudzień, to będzie jazda bez trzymanki, tempo i jeszcze raz tempo, ale bez tego to by firmy nie było i pracy byśmy nie mieli, nie? No to zaciskam zęby, ale nieraz nie wytrzymam i krzyknę na jednego czy drugiego, wytłumaczę po swojemu, kogo ma słuchać. Jak nie ja ich, to oni mnie wygryzą. Niektórzy to się nie nadają, a my musimy pracować i wyrabiać normy dalej, bo nas rozliczają za to kierownicy. Czasem kierownicze Polce powiem, który mnie najbardziej wnerwia i nie będzie z niego pożytku, on wtedy wylatuje szybko. Musimy tu jakoś wytrzymać. Dobrze, że nie wszyscy zostaną po brexicie, tylko tacy, co długo siedzą. Chociaż też mamy problemy z tymi pozwoleniami, ale jakoś poradzimy. Nie wyrzucą nas wszystkich, bo kto wtedy będzie pracował?

Rozmowę kończy dzwonek na przerwę. Wszyscy czekają na te dwadzieścia minut, by w biegu się przebrać, skorzystać z łazienki, zjeść, wypić kawę, zapalić papierosa. Ruszam za falą ludzi do pokoju socjalnego. Zostawiam *safety shoes* na podłodze przy szatni. Jedna z angielskich pracowników zaczepia mnie i zwraca uwagę, by przenieść je na szafkę, bo ktoś może się potknąć.

Na przerwie

Kinga (20 lat) jest na tymczasowej umowie, zarabia 8,30 funta na godzinę.

Studiuje ekonomię, przyjeżdża do Anglii co roku na kilka miesięcy. Ma palce oklejone plastrami. Mówi, że to normalne, bo papierem do pakowania łatwo się zaciąć.



– Pracuję od miesiąca, jak tylko zaczęli przyjmować. Śpię u znajomych w kuchni na materacu. Kupuję najtańsze jedzenie z Aldi, oszczędzam i biorę nadgodziny, żeby przywieźć do Polski po świętach przynajmniej trzy tysiące funtów. To pozwoli mi dokończyć studia za rok. Teraz wzięłam urlop dziekański. Pewnie ostatni raz przyjechałam, bo podobno po brexicie już nie będzie można. Od pierwszego dnia wiadomo, że praca jest ciężka. Początki są trudne, hałas, nogi bolą od stania. Odciski na palcach i zdrętwiałe ręce to norma przez pierwsze dwa tygodnie. Ale albo się przyzwyczajasz i zasuwasz, albo kwalifikujesz się do zwolnienia. Zanim biuro cię zwolni, to starzy pracownicy ci nie dadzą żyć, bo ich spowalniaasz i nie dostaną premii. Trzeba się szybko nauczyć, nie rzucać w oczy i zasuwać. Anglicy to służbiści. My chcemy wszystko zrobić szybko, oni patrzą na przepisy, dlatego cały czas są konflikty. Dużo u nas Polaków – to wiadomo, mnóstwo Rumunów, więc bywa największa rywalizacja między nami. Przyjeżdżają też Hiszpanie, Portugalczycy, Litwini, Słowacy, czasem z jakichś bardziej egzotycznych krajów też. Można sobie po angielsku pogadać na linii, ale trzeba uważać, bo różni ludzie tu są. Nie da się czuć całkiem bezpiecznie, bo nie jesteś u siebie. Jak ktoś chce zostać na stałe, to i fizycznie, i psychicznie musi cały czas być na pełnych obrotach. Trzeba się wkręcić do towarzystwa tych, co tu siedzą od lat. Polakom jest trudniej, bo swoi ci nie pomagają. Jak się nie uważa, co do kogo się mówi, to zaraz wszyscy wszystko wiedzą o tobie. Plotki to główna rozrywka. Niektórzy muszą w tym siedzieć latami, bo nie mają wyboru.

W biurze

Wychodzę z przerwy razem z setką pracowników. Spacer po fabryce kończę w biurze, koło pokoju socjalnego. Komfortowe wnętrze z czajnikiem i radiem jest ciche i przyjemne. Ania (31 lat) ma stałą umowę i zarabia około 12 funtów na godzinę.

Pracuje tu od dziesięciu lat. Zaczynała od linii, nie znając języka, teraz zajmuje się rekrutacją i pośredniczeniem między kierownictwem a polskimi robotnikami. Mówi z lekkim

brytyjskim akcentem. Na tablicy przy jej biurku wisi rodzinne zdjęcie, kilka dyplomów z odbytych szkoleń i kartka z życzeniami urodzinowymi od zespołu.

– Mam męża Rumuna i razem tu pracujemy już kilka lat, znamy język bardzo dobrze. Awansowaliśmy, on jest kierownikiem w magazynie, a ja w biurze. Teraz jest najbardziej busy. Dzieci zostawiamy w domu z moją siostrą. Jak zaczyna się sezon, musimy przygotować wszystko na święta, roboty jest naprawdę mnóstwo, nadgodziny to konieczność, więcej pracowników też. Zatrudniamy wszystkie osoby, które mają szansę się sprawdzić. Najlepsi zostają z nami, dostają stały kontrakt, ale trzeba się postarać. Zostają głównie Polacy i Rumuni. Są też Anglicy, co pracują tu od dawna – dużo starszych, młodszych prawie nie ma. W Polsce mieszkalam z matką w kawalerce w bloku do matury, potem przyjechałam tu do siostry. Mamy dwa samochody. W zeszłym roku kupiliśmy dom. Syn i córka w prywatnej szkole. Jeździmy na wakacje co pół roku, Teneryfa, Tajlandia. Matce co miesiąc wysyłam tysiąc złotych do renty. Żyjemy na wysokim poziomie, stać nas naprawdę na wszystko, w Polsce to byłoby nie do pomyślenia. Są też problemy, trudno znaleźć przyjaciół, jest samotność. Na mnie krzywo patrzą, że nie mam Polaka, tylko Rumuna. Wcześniej się przyjaźniłam z dziewczynami z hali, ale po awansie to się zmieniło. Każdy patrzy swojego interesu, więc ja też patrzę swojego. Czy Polaka, czy każdego innego zwolnię, jak pije w pracy albo kradnie. Muszę, inaczej mnie zwolnią kierownik Anglik, bo cały czas patrzą nam na ręce. Nie rozumieją, czemu tu przyjeżdżamy. Tu jest wszędzie hierarchia: na hali, w biurze, u sprzętaczek. My nie planujemy wracać, chociaż dużo znajomych wyjechało. Teraz w Polsce ani w Rumunii byśmy się nie odnaleźli. Tu mamy wszystko: pracę, dom, rodzinę.

To krople w morzu problemów, których doświadczają na co dzień emigranci: praca w trudnych warunkach, niskie wynagrodzenia, samotność, mobbing, różnice kulturowe, rasizm, strach przed zaufaniem. Walka o nowe życie na Wyspach zaczyna się często właśnie tak – od minimalnej stawki godzinowej i tymczasowego kontraktu przy linii produkcyjnej.

Starzy emigranci mówią, że trzeba zacisnąć zęby i się przyzwyczaić.

ALEKSANDRA WIERZBIŃSKA

Wymuszona kwarantanna #zostańwdomu, czyli

Tęsknota za oknem życia, do którego można oddać osoby dorosłe

Karolina Chłoń

12

Adam, lat 36, menadżer w dziale projektów, od trzech lat pracuje w jednej z amerykańskich korporacji. Tydzień po tym, jak w poniedziałek 9 marca br. Ministerstwo Zdrowia poinformowało o pierwszym, potwierdzonym przypadku zarażenia koronawirusem w Krakowie, mieście, w którym mieszka i pracuje od dziesięciu lat, jego szef zaproponował mu pracę zdalną. Na razie nieoficjalnie, ale zawsze to coś. Adam od dawna lubił pracować ze swojego, kupionego na kredyt M-2. Nikt nie burczy mu nad uchem, nie patrzy na ręce. Siedzi i robi co należy.

Poniedziałek

Pierwszego dnia dobrowolnej kwarantanny wstał rano i poszedł do łazienki, umyć zęby i zadbać o jako taką higienę. Stamtąd ruszył do kuchni, gdzie z szafki zabrał paczkę ciastek, a spod ekspresu filiżankę parującej jeszcze kawy, którą przygotowała mu Magda, jego dziewczyna, nim wyszła do pracy. Tak wyposażony w podstawowe środki do życia – typowe dla pracownika biurowego – zasiadł przed służbowym laptopem. Włączył go, a po chwili uruchomił na nim swą firmową skrzynkę e-mailową, upił trochę kawy i zabrał się do pracy.

Od kilku tygodni, wspólnie z sześciuosobowym zespołem, którym Adam zarządza od ponad roku, pracuje nad zautomatyzowaniem procesu wprowadzania danych. Chodzi o wyeliminowanie tzw. czynnika ludzkiego i związanych z tym potencjalnych błędów przy przepisywaniu danych pomiędzy dwoma niepołączonymi ze sobą systemami. W tym celu jego zespół opracowywał nowe narzędzie, którym za pomocą jednego kliknięcia informacje z jednego programu komputerowego zostałyby powielone w drugim.

Rolą Adama było zebranie wszystkich wymaganych zgód i podpisów oraz wyliczenie i porównanie kosztów obecnego procesu z kosztami pracy, jaką trzeba będzie wykonać

przy tworzeniu nowego narzędzia. Bez tych danych oraz wykazania, że automatyzacja procesu faktycznie obniży koszt pracy, projekt nie miał racji bytu. Całe przedpołudnie upłynęło więc Adamowi na wysyłaniu e-maili, w których upominał się o zaległe dane liczbowe.

Z kolei popołudnie spędził na rozmowach przez Skype'a. Tego dnia tematem numer jeden na ustach wszystkich była nowa sytuacja, w jakiej znaleźli się Adam i podlegający mu zespół projektowy. O godzinie siedemnastej, z poczuciem dobrze wykonanej pracy, wyłączył komputer, po czym otworzył butelkę czerwonego primitivo, a na telewizorze odpalił Netfliksa.

Środa minie, tydzień zginie

Schemat pracy z poniedziałku powtarzał się przez cztery kolejne dni z tą tylko różnicą, że im bliżej było do weekendu, tym coraz mniej się chciało Adamowi brać rano prysznic czy przebierać z piżamy. Szybko wyczuł też, że prace projektowe jakby delikatnie zwolniły tempo, a wśród ludzi zapanowało lekkie rozprężenie. Rzeczy, których zrobienie na ogół zajmowało dzień–dwa dni, teraz przeciągały się do trzech, a nawet czterech, a i tak niejednokrotnie trzeba się było dopominać o dostarczenie ich na czas.

Dodatkowo, gdzieś tak od środy, ludzie w zespole zaczęli się coraz częściej skarżyć na panujące w ich domach warunki pracy.

Aśka i Monika narzekały głównie na biegające dookoła dzieci, które nierzadko zresztą było słychać na prowadzonych przez Skype'a spotkaniach, oraz na niewspierających je w obowiązkach domowych mężów. Skarżyły się na to, że z każdym dniem coraz trudniej jest im pogodzić obowiązki służbowe z jednoczesnym byciem mamą, nauczycielką, żoną, kucharką, praczką i sprzątaczką.



Darię z kolei do pasji doprowadzały dzieci sąsiadów, nieustrudzenie jeżdżące hulajnogą po mieszkaniu piętro wyżej. Na nic zdał się włożony do skrzynki sąsiadów anonimowy list z prośbą o zaprzestanie tych domowych akrobacji ani oficjalne pismo od spółdzielni mieszkaniowej, do której zgłosiła się po pomoc. W obwodzie został jej jeszcze telefon do Straży Miejskiej, ale powiązane tematycznie fora internetowe odradzały ten krok, twierdząc, że w dobie koronawirusa służby porządkowe mają inne, ważniejsze zadania niż rozwiązywanie sąsiedzkich waśni.

Jeśli chodzi o męską część zespołu, to Tomek i Maciek narzekali głównie na to, że internet działa dość wolno, co spowalnia prace nad nowym narzędziem, zwłaszcza że dla wykonania niektórych kroków przy programowaniu muszą się dodatkowo podpinać do VPN – prywatnej sieci firmy. Jasek za to wściekał się, że jego kobieta dzień w dzień z niego robi awanturę.

Adam, słuchając tych wszystkich utyskiwań, cieszył się w duchu, że jego partnerka, mimo że obydwie pracują w jednej firmie, nadal chodzi do pracy, a jeszcze bardziej z tego, że jednak nie mają dzieci.

Drugi tydzień kwarantanny

W poniedziałek, ósmym dniu dobrowolnej kwarantanny, zapadła OFICJALNA decyzja o PRZYMUSOWEJ PRACY ZDALNEJ. A to oznaczało dla Adama, że Magda od tego dnia też zostaje w domu.

Zaskoczony takim obrotem sprawy, do wieczora starał się jakoś uporać z tą informacją, bo jeszcze nigdy razem nie pracowali w mieszkaniu. Na ogół to ona częściej brała tzw. home office, gdy on w tym czasie wolał iść do biura. Tam oprócz laptopa miał na biurku dwa dodatkowe monitory, klawiaturę i myszkę, co znacznie ułatwiało pracę projektową.

Kolejny dzień zaczął się jak zwykle, tylko że ze względu na obecność partnerki w domu tym razem Adam zadbał o higienę. Przedyskutowali też, jak sprawiedliwie podzielić między siebie przestrzeń do pracy. Ona zajęła sypialnię, bo praca z domu oznaczała dla niej, że do końca dnia może zostać w szlafroku i nie wychodzić z łóżka. On za to rozlokował się w salonie, gdzie stał jego ulubiony, ciemnozielony fotel, prezent gwiazdkowy od Magdy.

Dodatkowo, mając w pamięci utyskiwania dziewczyn z zespołu z zeszłego tygodnia, zarządził podział domowych obowiązków. Do jego zadań należało przygotowywanie śniadań oraz parzenie kawy. Ponadto sprzątanie mieszkania we wtorki i wynoszenie śmieci w czwartki oraz chodzenie po butelkowaną wodę i heetsy, które obydwie palili od roku.

Z kolei Magda miała zadbać o codzienne obiady i kolacje oraz w ramach potrzeby robić pranie i pakować/rozpakowywać zmywarkę. Zakupy, w tym te spożywcze i z apteki, załatwiali na zmianę za pomocą internetu.

Jeśli chodzi o pracę zawodową, to początek tygodnia przebiegł dość spokojnie, mimo że poziom rozprężenia sięgnął już zenitu. W końcu teraz cała firma oficjalnie pracowała zdalnie. Nie wszyscy więc wdzwaniali się na zaplanowane skype'owe spotkania, zwyczajnie o nich zapominając lub tłumacząc się problemami z połączeniem internetowym. Mimo to udało się Adamowi uzyskać wszystkie wymagane zgody na projekt, za co otrzymał pochwałę od przełożonego.

Okno życia

Schody zaczęły się w środę po południu. Magda, kompletnie nie radząc sobie z przymusowym zamknięciem w czterech ścianach, postanowiła gruntownie posprzątać mieszkanie. Do wieczora biegła po domu z gąbką ►

- namoczoną w ajaksie i ścierała kurze z miejsc, o których istnieniu Adam nie miał pojęcia, więc nieświadomie po-
minął je podczas wtorkowego sprzątnia. Zdziwiony ca-
łym zajściem, w czwartek ochoczo podzielił się nowymi
doświadczeniami z zespołem, tym samym dostępując
zaszczytu dołączenia do sześciuosobowej grupy mal-
kontentów.

Aśka i Monika nadal odgrażały się, że oddadzą swoje
dzieci, a Jasiek – że jak tylko będzie można wyjść z domu,
to natychmiast pojedzie do najbliższego sądu i złoży pa-
piery o rozwód.

Sytuacja z porządkami powtórzyła się kolejnego dnia,
gdy tym razem jego partnerka postanowiła gruntownie
dosprzątać wszystko to, czego Adam nie posprzątał we
wtorek, a ona nie dosprzątała w środę. Nie zostało mu
więc nic innego, jak wsiąść na rowerek stacjonarny i peda-
łować, dopóki nie straci przytomności albo przynajmniej
dopóki druga połówka nie padnie z wycieńczenia i nie pój-
dzie wreszcie spać.

W piątek Adam z radością odkrył, że skończyły się środki
czyszczące, ale dziewczyna nie dała za wygraną i przerzu-
ciła się na gotowanie. W ciągu czterech godzin stania przy
garach zdążyła upiec bochenek chleba, drożdżowe ciasto
z jabłkami i kruszonką oraz pieczeń z karkówki. Ukręciła
też dwie pasty do chleba: jedną z twarogu i tuńczyka, dru-
gą z żółtego sera i jajek, a na koniec ugotowała jeszcze gar
pomidorowej z makaronem.

Adam, obserwując ten kompulsywny napad gotowania,
z jednej strony cieszył się, że mają żarcia na kilka dni, z dru-
giej jednak nie potrafił odpędzić od siebie dręczącego go
pytania, czy w oknie życia można oddać też osoby dorosłe.

W weekend, chcąc pomóc Magdzie w uporaniu się
z nową sytuacją, Adam wprowadził codzienną obowiązkową
kurację – jedną lampkę wina, dla zdrowia. Tego sa-
mego dnia, gdzieś tak w połowie drugiej butelki, wspólnie
doszli do wniosku, że to był naprawdę dobry pomysł.

Trzeci tydzień kwarantanny

W kolejny poniedziałek, gdy dni zaczęły się już zlewać
w całość, Adam wstał rano, wziął prysznic i przebrał się
z piżamy w ubranie. Stamtąd poszedł do kuchni, gdzie
przygotował śniadanie i zaparzył kawę, po czym urucho-
mił laptopa i otworzył swoją firmową skrzynkę e-mailową.

Z pierwszej przeczytanej wiadomości dowiedział się, że z po-
wodu pandemii i niepewnej sytuacji co do przyszłości świata,
w tym całej gospodarki, wszystkie projekty, nad którymi ostat-
nio pracował, zostają zawieszone na czas bliżej nieokreślony.

Tego dnia, podczas codziennego skype'owego spotka-
nia z zespołem, nikt już nie narzekał na hałasujące dzieci,
męża, który nie pomaga w domowych obowiązkach, iry-
tujących sąsiadów czy na awanturujące się bez powodu
żony i partnerki. I chociaż ani razu nie padło pytanie, czy
taka decyzja zarządu może pociągnąć za sobą zwolnienia
w firmie, dało się wyczuć panujące napięcie.

Spotkanie, mimo że wcześniej trwały one nieraz ponad
zaplanowaną godzinę, tym razem skończyło się po kwa-
dransie. Nikomu nie chciało się gadać, a i Adam nie miał
za wiele do powiedzenia oprócz powtarzania w kółko, że
„wszystko będzie dobrze”.

O godzinie siedemnastej Adam wyłączył komputer i otwo-
rzył butelkę czerwonego wina. Tego dnia jego partnerka
odpuściła sobie sprzątnięcie i gotowanie, w końcu pracowali
w jednej firmie, więc powstała sytuacja dotknęła ich oboje.

We wtorek w południe obydwójce dostali informację, że
system pracy zdalnej zostaje przedłużony do Wielkanocy.
Reszta dnia minęła im na obdzwanianiu znajomych pracu-
jących w innych korporacjach, a ci uspokajali ich, że kryzys
kryzysem, ale dużych firm nie dotknie. Pokrzepieni tymi sło-
wami, wieczorem otworzyli wino i odpalili Netfliksa. Cóż in-
nego im pozostało w tej sytuacji?

KAROLINA CHŁOŃ



Magister od brudnej roboty

Iwona Filipiak

Karola od dziecka ciągnęło do motoryzacji. Nie lubił się bawić klockami czy żołnierzykami. Zawsze wybierał samochody, a jego ulubionym zajęciem było rozmontowywanie ich na części

Powiat limanowski, końcówka marca. Kilkanaście minut przed godziną 8 podjeżdżam pod warsztat samochodowy i idę do biura. W pomieszczeniu nikogo nie ma. Wokół białe ściany, miejscami ozdobione resztkami smarów, biurko, fotel i regał. Po kilku minutach podchodzi Dawid, szef.

Warsztat założył jego ojciec 35 lat temu i od tamtej pory świadczy usługi ogólnej mechaniki samochodowej oraz drobnej elektroniki. Na brak pracy nie narzeka. Bywają nawet okresy, kiedy odsyła klientów w inne miejsca, bo nie ma wolnych terminów. Dawid jest przekonany, że to zasługa dobrych mechaników. Z jednym z nich postanowiłam spędzić cały dzień.

Szef prowadzi mnie do warsztatu pełnego maszyn i narzędzi. Tu każdy przyrząd i każda, nawet najmniejsza śrubka mają swoje miejsca. Po chwili zjawia się Karol – to jego pracy będę się przyglądać.

Karola od dziecka ciągnęło do motoryzacji. Nie lubił się bawić klockami czy żołnierzykami. Zawsze wybierał samochody, a jego ulubionym zajęciem było rozmontowywanie ich na części. W wieku 12 lat dostał swoje pierwsze narzędzia. Zamiast grać w piłkę z kolegami, wołał towarzyszyć ojcu podczas drobnych, przydomowych napraw, a kiedy trzeba było odstawić pojazd do warsztatu, zawsze jechał z nim, aby choć przez chwilę popatrzeć na pracę mechaników.

Będąc w gimnazjum, zaczął samodzielnie naprawiać rodzinne auto. Od tego też czasu regularnie wyciągał ojca na targi motoryzacyjne odbywające się w Polsce i za gra-

nicą – do tej pory bierze w nich udział. Idąc za głosem powołania, wybierał kolejne szkoły. Został technikiem pojazdów samochodowych, a potem magistrem inżynierem. Dyplom obronił w Państwowej Wyższej Szkole Zawodowej w Nowym Sączu.

Dzień z życia mechanika

8.00.

Karol rozpoczyna pracę od przeglądu kilku dokumentów. Po chwili odkłada je na stolik i podchodzi do Nissana Qashqai. Tłumaczy, że zajmie się demontażem filtra cząstek stałych w celu jego regeneracji w piecu indukcyjnym. Sięga po klucz nasadowy i przeprowadza demontaż kół osi przedniej. Kilka minut szuka niezbędnych narzędzi potrzebnych do kolejnej czynności.

8.20.

Demontaż przedniego zawieszenia, które obejmuje rozpięcie sworzni wahaczy od zwrotnicy oraz demontaż poduszki stabilizującej silnik.

– Dla większości osób, które nie znają się na mechanice samochodowej, każda wykonana czynność przy naprawach, dobór kluczy, narzędzi, słownictwo wydają się skomplikowane. Nie mam tu na myśli wymiany koła czy dolania płynu do spryskiwaczy, ale zadania takie, jak na przykład wymiana sprzęgła czy rozrządu w silniku. Nawet gdybym bardzo się starał, by najprościej wytłumaczyć to, co robię, to i tak dla wielu osób może to brzmieć jak tajny kod mechaników. Spróbuję jednak w miarę szczegółowo i na tyle, na ile to możliwe, przystępnie opisywać swe działania – obiecuje Karol.

9.15.

Rozmontowanie wspornika układu wydechowego, który utrzymuje układ wydechowy w stałej pozycji.

– Może to zająć około 10 minut. Czas zależy od tego, czy dane auto współpracuje, gdyż zdarzają się skorodowane śruby albo utrudniony dostęp – tłumaczy mechanik. ►

► 9.25.

Karol odkręca cztery główne śruby mocujące sanki. Sanki to element zawieszenia pojazdu, do którego przymocowane są niemal wszystkie podzespoły zawieszenia.

10.00.

Demontaż przedniej prawej półosi napędowej, przenoszącej napęd ze skrzyni biegów na koło pojazdu. Ze względu na liczne wycieki z silnika i skrzyni biegów ręce mechanika są brudne od oleju, a na jego odzieży roboczej widnieją wiele plam po tłustych, ciemnych smarach.

– Dostęp jest bardzo trudny, ponieważ auto ma napęd na cztery koła, a półos napędowa znajduje się w przystawce kątownej realizującej napęd na tylną oś. W tym samochodzie do filtra cząstek stałych bezpośrednio przymocowany jest wlot spalin do układu recyrkulacji dwoma śrubami M8 na klucz 10 mm. Dostęp wymaga użycia kilku przedłużeń do klucza nasadowego oraz podejścia od lewej strony auta. Zadanie pogarsza fakt, że śruby są skorodowane – wyjaśnia Karol.

10.50.

Demontaż elementu podporowego filtra DPF. Ze względu na jego dużą masę podpory mocowane są za pomocą dwóch śrub M10.

11.15.

Demontaż obejm mocujących filtr DPF do bloku silnika. Podpora i obejmę utrzymują filtr DPF w stałej pozycji. Mechanik musi także odkręcić trzy nakrętki mocujące filtr do turbosprężarki.

– Ku*wa mać! Niech to szlag trafi! – pomstuje.

Jak się okazało, podczas rozbiórki obejm klucz spadł ze śruby. Karol uderzył się ręką w ostrą krawędź innego elementu silnika.

– Aby odkręcić te nakrętki, muszę zdjąć więcej elementów – przewodów doprowadzających powietrze do turbosprężarki. Jak to już skończę, wtedy dopiero mogę zdemontować filtr wraz z sondami.

11.30.

Demontaż przewodów doprowadzających powietrze do turbosprężarki.

13.00.

Filtr został zdemontowany, a następnie przekazany do regeneracji.

– Zabieg ten jest potrzebny ze względu na dużą zawartość sadzy w filtrze. Powstała ona na skutek częstego pokonywania krótkich dystansów, na których silnik nie miał możliwości odpowiednio się dogrzeć. Po procesie regeneracji w piecu indukcyjnym w temperaturze rzędu kilkuset stopni sprawność filtra wraca do parametrów stanu fabrycznego. Następnego dnia trzeba dokonać montażu części. Koszt regeneracji filtra w piecu to 500 zł, koszt robocizny znowu 500 zł – tłumaczy Karol.

Po kilku minutach przerwy mechanik podchodzi do następnego zadania. Peugeot 307 o nadwoziu typu hatch-



back, pięciodrzwiowy. Samochód przyjechał do warsztatu ze względu na dziwne odgłosy dochodzące z komory silnika, pojawiające się pod wpływem obciążenia. Komputer diagnostyczny nie wykazywał żadnych usterek silnika.

13.15.

Zaczyna się dogłębna, około godzinna diagnostyka wszystkich elementów. Karol stwierdza uszkodzenie uszczelki kolektora powietrza zasysanego.

– Kolektor ssący i wydechowy umiejscowione są z tyłu silnika. W celu demontażu kolektora ssącego niezbędną czynnością staje się demontaż kolektora wydechowego wraz z turbosprężarką. Zadanie jest utrudnione ze względu na bardzo ograniczoną ilość miejsca wokół tych podzespołów, jak to zwykle bywa we francuskich samochodach – mówi mechanik.

14.15.

Przygotowanie niezbędnych narzędzi do pracy.

14.25.

Karol, stojąc przed samochodem, wykonuje demontaż: podszybia, czyli plastikowego elementu znajdującego się pod szybą czołową, który zapobiega wpływaniu wody i wpadaniu liści do komory silnika oraz poduszki silnika (elementu mocującego silnik w samochodzie) w celu maksymalnego przesunięcia go do przodu pojazdu.

14.50.

Wyjęcie wszystkich rur doprowadzających powietrze do turbosprężarki i silnika. Turbosprężarka jest elementem, który odpowiada za dostarczanie powietrza do silnika pod ciśnieniem. Po krótkim zaplanowaniu dalszej pracy mechanik demontuje kolejne elementy.

15.10.

Przy ściąganiu turbosprężarki pojawia się niespodzianka. Zamiast 10 jest 9 nakrętek. Ktoś wcześniej przeprowadził niefachową naprawę i urwał jedną śrubę, nie wymieniając jej na nową.

– Kur*a mać! Ja pier*ole! Niech to ch*j jasny trafi! – z ust mechanika leci wiazanka. Jest to spowodowane tym, że wszystkie śruby znajdują się w trudno dostępnych miejscach. Dostęp do nich powoduje liczne okaleczenia na jego rękach. Chwila ciszy. Karol powolnym krokiem odchodzi od samocho-

du. Na podłogę warsztatu spadło kilka kropel krwi. Pokazując zraniony palec, sięga po środek dezynfekujący rany.

– Cemu nie zakładasz rękawiczek? – pytam go.

– Nie lubię pracować w rękawiczkach. Oczywiście podczas niektórych czynności zakładanie rękawiczek jest niezbędne, ale przez większość czasu unikam ich. Pracując bez nich, mogę się lepiej wczuć w każdy naprawiany, rozkręcany element samochodu.

15.30.

Jednym z ostatnich etapów jego pracy jest demontaż elementu, który powodował usterkę – uszczelka kolektora ssącego. Po wyjęciu owej części potwierdza się trafność diagnozy – uszczelka jest rozerwana. Kolektor ssący jest elementem mocowanym do głowicy silnika, kierującym powietrze bezpośrednio do niego.

15.40.

Po wymianie uszczelki i dokładnym oczyszczeniu demontowanych podzespołów Karol przystępuje do ich ponownego montażu, w kolejności odwrotnej niż podczas demontażu.

19.10.

Koniec prac przy samochodzie.

Koszt części użytych do naprawy wyniósł 70 złotych, a koszt pracy 350 złotych. Na cenę naprawy przekłada się ilość wykonanej pracy oraz poziom jej skomplikowania. Po każdej naprawie mechanik przeprowadza test samochodu w warunkach drogowych.

Praca po pracy

Po pracy mechanik zazwyczaj od razu wraca do domu, by podejmować się innych napraw i ulepszeń w samochodach znajomych oraz swoim. Dziś Karol zostaje w warsztacie dłużej, aby opowiedzieć nieco więcej o swoim zajęciu.

– Nie traktuję mojej pracy jako pracy, ale jako pasję. Czasami tracę poczucie czasu podczas naprawy samochodów, po prostu trudno mnie wygonić z warsztatu. Zdarzają się dni, kiedy mam ochotę wszystko rzucić, wyjść i nie wrócić, nikomu nie mówiąc ani słowa. Z natury jestem człowiekiem cierpliwym, ale zdarza mi się rzucić kluczem, głośno przekląć szczególnie wtedy, gdy samochody nie chcą współpracować. Najwięcej problemów przy robociźnie sprawiają pojazdy francuskich oraz japońskich marek, a auta grupy VW są niezaprzeczalnie najbardziej przyjazne mechanikowi. Raz na bardzo długi czas zdarzy mi się również – zupełnie przez przypadek – zepsuć jakąś część. Wtedy ponoszę koszty z własnej kieszeni. Taka sytuacja chyba najbardziej działa mi na nerwy. Mimo wszystko, gdybym miał możliwość ponownego wyboru zawodu, z pewnością bym wybrał tę samą drogę.

Czas pracy Karola zazwyczaj jest nieregularny. Jednego dnia może spędzić w warsztacie 10 godzin, drugiego 8, a kolejnego nawet i 14. W okresie letnim bywają dni, kiedy rozpoczyna pracę o godzinie 9.00, a kończy około północy.

Od czasu do czasu musi się zmagać z klientami przekonanymi o tym, że znają się na usterce lepiej niż on sam. Jednak jak zaznacza – kłopotliwych klientów nie ma wielu, ale jak już się taki pojawi – potrafi zepsuć resztę dnia.

Po kilkunastogodzinnej pracy Karol zawsze wraca do domu brudny od smarów. O ile odzież roboczą wystarczy wrzucić do pralki i wyprać, a co jakiś czas kupić nową, o tyle nie można tego powiedzieć o dłoniach. Najtrudniej jest je domyć. Nawet najlepsze pasty czy żele BHP nie są w stanie usunąć całodniowego brudu z powierzchni skóry i spod paznokci. Na jego rękach jest wiele ran, zadrapań, odcisków i pęcherzy.

Skupiając się na naprawach innych samochodów, nie zapomina o własnym. Jeździ czerwonym Audi 80 B4 Quattro, rocznik '92. Nie ukrywa, że poszukiwania samochodu trwały kilka lat. Jak na taki wiek samochód nie ma ani grama rdzy, wykonano go z dobrze ocynkowanej blachy. Zrobił w nim kilka modyfikacji. Wszystko sam, głównie wieczorami. Czasami był tak zmęczony, że odchodził od samochodu, siadał na podłodze i na chwilę zasypiał.

– Pierwszymi i najważniejszymi zadaniami, których się podjąłem przy mojej czerwonej osiemdziesiątce, był kompletny demontaż tapicerki i elementów wykończenia wnętrza w celu obszycia na nowo foteli i boczków drzwi. Przy okazji wygłuszyłem podłogę, wymieniłem kierownicę i materiał podsufitki. Naprawa obejmowała także przywrócenie zawieszenia oraz układu hamulcowego do stanu używalności. Całość prac zajęła mi tydzień. Wnętrze auta było rozebrane do gołej blachy.

Dalsze modyfikacje obejmowały wymianę zawieszenia na sportowe. Zastosowałem większe hamulce w celu skrócenia drogi hamowania przy dużej prędkości. Wymieniłem silnik – obecny zbudowany jest od podstaw na nowych częściach. Poprzedni, wolnossący, charakteryzował się pojemnością 2.3 l. Zastąpiłem go turbodoładowanym pięciocyndrowym, który legitymował się pojemnością 2.2 l o mocy fabrycznej 165 koni mechanicznych, która na konie została zwiększona niemal dwukrotnie.

Praca nad wymianą silnika pochłonęła trzy tygodnie. Trzeba było zbudować od podstaw wiele elementów, stworzyć nową wiązkę elektryczną silnika.

Audi 80 to niejedyny samochód, przy którym przeprowadzał tak skomplikowane modyfikacje. Karol robił również przekładki w samochodach Audi A4 B6 oraz Audi A4 B7, czyli cały szereg czynności składających się na przystosowanie samochodu z angielskiego ruchu drogowego na europejski. Obecnie czeka na transport z Anglii Audi A5, aby w wolnych chwilach podjąć się pracy przy kolejnej przekładce.

IWONA FILIPIAK

**imiona bohaterów reportażu zostały zmienione*

– To cudowne, że świat jest tak różnorodny i za każdym razem zaskakuje nas inaczej!

Rozmowa z **SANDRA**, fotografką i podróżniczką, współautorką rodzinnego bloga „Świat według Rostków”

18



Uluru, Australia

- Jesteście małżeństwem od pięciu lat, poza miłością połączyło was wspólne odkrywanie świata. Kiedy i jak zaczęliście ową bajeczną przygodę?

– Na wspólne, dalekie podróże zdecydowaliśmy się zaraz po maturze, czyli dziesięć lat temu. Podczas jednodniowej wycieczki do Wrocławia zrodził się plan na dwutygodniowego eurotripa. Siedzieliśmy trzy godziny w kawiarni i omawialiśmy, jak mogą wyglądać nasze wakacje. Po powrocie do domu znaleźliśmy najtańsze połączenia. Wyprawę rozpoczęliśmy w Pradze, stamtąd poleciliśmy do Paryża, spędziliśmy tam drugą

rocznicę związku, a potem była Wenecja, Bruksela, Mediolan. Wycieczki bez planu przypadły nam do gustu, a linie lotnicze miały coraz więcej promocji... Gdy już przejechaliśmy Europę, postanowiliśmy ruszyć dalej na zachód. Zaczęliśmy od spełnienia największego marzenia – wyjazdu do USA, potem było Maroko, następnie trzymiesięczna tułaczka po Azji, podróż dookoła świata, trzymiesięczna wyprawa do Ameryki Południowej. Czas leci, a nam ciągle mało. W wolnych chwilach staramy się podróżować weekendowo, a przynajmniej dwa razy do roku wyjeżdżać dalej.

- Zajmujesz się fotografią, dzięki czemu macie piękne zdjęcia z podróży. Czy fotografia była początkiem miłości do podróżowania, czy odwrotnie – to podróże stały się początkiem miłości do fotografii?

– Ja fotografią param się od dawna, ale Rostek do dzisiaj odkrywa możliwości aparatu, przez co liczba zdjęć, na których widnieję, jest naprawdę niewielka (*śmiech*). Moja pasja do fotografii narodziła się jeszcze w gimnazjum. Dopiero po jakimś czasie odkryłam, ile frajdy, oprócz robienia portretów, sprawia mi fotografowanie widoków, krajobrazów i miast. Lubię łączyć obie te pasje, ale gdybym musiała wybrać, to na pewno wygrałaby miłość do podróżowania.

- Chyba mnie to nie dziwi... W dziesięć lat odwiedziliście we dwoje już ponad 60 państw! Planowanie takich wojaży nie należy do łatwych. Jak sobie z tym radzicie? Czy każdy odpowiada za coś innego?

– Myślę, że to wszystko kwestia wprawy. Początkowo mieliśmy kłopot z ogarnięciem najprostszych rzeczy. Potrafiliśmy przez kilka godzin szukać hotelu w Rzymie czy Dublinie, przepłacać za transport z lotniska, jedliśmy w drogich, turystycznych lokalach. Dobrze przygotowanie to podstawa, bo pozwala nie tylko zmniejszyć koszty podróży, ale również odkryć wszystko to, co ma do zaoferowania dane miejsce. Ja zazwyczaj zajmuję się planowaniem całej trasy, wyszukiwaniem restauracji, szlaków, hoteli czy też atrakcji. Rostek „uczy się” naszego planu na miejscu, więc dla niego każda eskapada to wielka niewiadoma. Jednak jeśli chodzi o niego, to pozostaje niezawodny w czytaniu map, przygotowaniu budżetu i dogadywaniu się z miejscowymi, a także w uspokajaniu mnie, kiedy coś pójdzie nie tak.

- Dogadywanie się z miejscowymi to musi być nie lada wyzwanie. Jakimi językami obcymi władacie?

– Tylko angielskim. Po hiszpańsku potrafimy zamówić ulubione danie, zapytać o godzinę, odjazd autobusu, cenę towaru...

- Jak wybieracie następne kierunki podróżowania? A może zdajecie się na los?

– Nasza lista podróżniczych marzeń pozostaje długa. Na początku roku staramy się zawsze ustalić miejsca, które byśmy chcieli odwiedzić, licząc na to, że znajdziemy tańsze połączenia lotnicze i kwatery. Owszem, zdarzają nam się wyjazdy spontaniczne, lecz raczej weekendowe, i tylko wtedy, gdy trafimy na naprawdę korzystną promocję. Spontaniczność w planowaniu wyjazdów ma swe plusy, lecz dopiero te wymarzone, przemyślane pozwalają nam odkryć miejsca w 100 procentach, a przede wszystkim pogodzić etatową pracę ze zwiedzaniem świata.

- Który nieplanowany wcześniej wypad wspominać najlepiej?

– Ten z poprzedniego lata, gdy nagle udało nam się pojechać na Słowenię, Mazury, zaplanować wyjazd nad polskie morze i kupić bilety na weekend do Jordanii. Takie wypadki mają swój urok, bo często niczego nie oczekujemy, nie planujemy, a w zamian otrzymujemy masę pięknych wspomnień.

- Nagła wyprawa to w waszym wypadku raczej podróż z plecakiem, trudno wówczas mówić o wygodzie...

– Myślę, że największym plusem zwiedzania świata z plecakiem pozostaje właśnie wygoda. Staramy się nie nosić na plecach więcej niż 10-15 kg, no i plecak zawsze można upchać w luku bagażowym, na skuterze czy w przepelnionym chicken busie. To potoczna nazwa kolorowego, zmodyfikowanego i zdobionego autobusu, który przewozi towary i ludzi między społecznościami w różnych krajach. Miejsca, które odwiedzamy, często nie mają dobrych dróg, więc podróż z walizką nie miałaby sensu.

- Jak wyglądał wasz road trip, czyli podróżowanie samochodami?

– Road trip to jeden z naszych ulubionych sposobów podróżowania. Zaczęliśmy tę podróż od Włoch i Islandii, które przemierzaliśmy z mapami papierowymi. Obecnie, dzięki licznym aplikacjom ułatwiającym życie podróżnika, wszystko mamy w telefonach. Interesujące nas miejsca zaznaczamy jeszcze na długo przed wyprawą. Jeśli już decydujemy się na taki road trip, to raczej zawsze spędzamy noc w samochodzie lub namiocie. Staramy się, żeby nie umknął nam żaden wschód i zachód słońca, a każdy zakręt traktujemy jak nową przygodę. Śniadania, obiady i kolacje przygotowane przez nas na malutkiej kuchence gazowej staramy się jeść w pięknych miejscach. Często pozwalamy sobie na otwartość, jeśli chodzi o zmianę planów, i playlistę z ulubionymi piosenkami mamy zawsze pod ręką.

- Wiem, że trudno będzie wam wybrać, ale interesuje mnie pięć najpiękniejszych miejsc, w których byliście. Co was w nich urzekło?

– Jest tyle pięknych miejsc na świecie, że niełatwo wybrać tylko pięć. Na pewno jednak bardzo wysoko w naszym rankingu znalazłyby się: Himalaje w Nepalu za możliwość obcowania z najwyższymi górami świata i najpiękniejszy trekking w naszym istnieniu; Australia za outback, czyli głuszę, spokój, różnorodność oraz pierwsze dzikie kangury, które zobaczyliśmy (*śmiech*); Islandia za niezwykle krajo-
brazy, przepiękne lodowce, fiordy i wodospady; Boliwia za możliwość spędzenia nocy na największej pustyni solnej na ►

► świecie, i Indonezja za egzotyczne plaże, wulkany, dżunglę, pola ryżowe, i klimatyczne Bali.

▪ **Poza dobrym nastawieniem, paszportem i gotówką co jest najważniejsze w dalekiej wyprawie?**
– Oczywiście aparat fotograficzny, nie ruszam się bez niego. Poza tym wygodne buty oraz aplikacja maps.me. To podstawa każdego naszego wyjazdu.

▪ **Czy, podróżując, podejmujecie się – jak się zdarzy – pracy w zwiedzanych krajach?**
– Jeśli zajdzie taka konieczność, pracujemy jedynie zdalnie dla klientów z Polski, ale nigdy nie mieliśmy okazji podjąć pracy stacjonarnej w innym kraju.

▪ **Jeśli nie praca, to może wolontariat? Czytałam na waszym blogu, że uczyliście grupę dzieci. Na czym to polegało, gdzie się odbywało?**
– Podczas naszej podróży dookoła świata uczyliśmy angielskiego i podstaw matematyki dzieci ze slumsów w New Delhi. O wolontariacie dowiedzieliśmy się przypadkowo, lecz zdecydowanie było to jedno z piękniejszych doświadczeń podczas tej wyprawy ze względu na niesamowite dzieciaki, bardzo chętne do nauki.

▪ **Skąd bierzecie fundusze na podróże? Czy można was jakoś wesprzeć?**
– To chyba najczęściej zadawane nam pytanie, ale odpowiedź jest bardzo prosta – oboje pracujemy, zarabiamy i oszczędzamy. Nie robimy żadnych zbiorów, podróżujemy wyłącznie na swój koszt.

▪ **Wspomniłaś o podróży dookoła świata... Ile ona trwała i o ile miejsc zahaczyliście?**
– To była nasza dziewięciomiesięczna podróż poślubna. Przez ten czas odwiedziliśmy Tajlandię, Malezję z Borneo, Singapur, Nepal, Filipiny, Indie, Indonezję, Australię, Fidżi, Meksyk, Salwador, Nikaragwę, Gwatemalę i Nowy Jork.

▪ **Ciągle nie mogę wyjść z podziwu, słucham cię, a moja wyobraźnia buzuje. Jaki zakątek naszej planety najbardziej zapadł wam w pamięci i dlaczego?**
– To trudne pytanie, bo każde miejsce skradło nam serce w inny sposób i na dobre zapadło w pamięci. Bardzo miło wspominałyśmy eskapadę autostopem przez cały Meksyk, lot balonem nad Kapadocją, poznanie wspaniałych ludzi w Iranie, noce spędzone w kolumbijskiej dżungli i pod rozgwieżdżonym niebem Borneo. Wszystkie trekkingi w Peru, Nepalu, Kirgistanie, poranek na wulkanie Ijen, noc w klasztorze w górach Birmy, jazdę skuterką przez Wietnam, Sri



Song Kul, Kirgistan

Lankę czy Laos... To cudowne, że świat jest tak różnorodny i za każdym razem zaskakuje nas inaczej!

▪ **Mówi się, że podróże kształcą. Jakie lekcje wy z nich wyciągnęliście?**

– Nauczyliśmy się doceniać kraj, w którym żyjemy, oraz małe rzeczy na co dzień niedostrzegane: dostęp do bieżącej, ciepłej wody, darmową edukację czy wygodne łóżko.

▪ **Zdradź, proszę, następny kierunek waszej podróży...**

– Zamierzaliśmy w tym roku odwiedzić zachodnie wybrzeże USA, zrobić road trip po Nowej Zelandii, pojechać do Pakistanu oraz przejść najbardziej popularne szlaki Patagonii. Ale przez obecną sytuację epidemiczną musimy się wstrzymać, a wszystkie plany zweryfikować. Bardzo możliwe, że do czasu otwarcia granic postawimy na zwiedzanie naszej pięknej krainy. Chcielibyśmy wrócić w Bieszczady, Tatry i odkryć wschodnią część kraju.

▪ **Polska z pewnością ma wiele do zaoferowania. Z niecierpliwością czekamy na nowe wpisy i zdjęcia na blogu. Zapytam na koniec o radę, jaką masz dla osób, które by chciały pójść waszym tropem i zacząć zwiedzać świat. Czy można tak z dnia na dzień rzucić pracę i zdać się na los?**

– Przede wszystkim nie trzeba się bać ruszenia w świat. Internet pełen jest inspirujących ludzi, którzy zrezygnowali ze wszystkiego, pojechali i dzisiaj spełniają swe marzenia. Wszystko zależy od priorytetów. My rzadko chodzimy na mało potrzebne zakupy czy do kina, sporo oszczędzamy i większość finansów przeznaczamy właśnie na wyjazdy. Robimy to, gdyż to nasza największa pasja, która niekiedy wymaga wyrzeczeń. Ale nigdy tego nie żałowaliśmy.

Rozmawiała: ANNA BIELA

Fot. prywatne archiwum autorów „Świata według Rostków”

– Łatwiej się o tym słucha, niż przez to przechodzi

Rozmowa z **dr inż. arch. Martą Urbańską**, profesorem uczelnianym w Instytucie Historii Architektury i Konserwacji Zabytków Wydziału Architektury Politechniki Krakowskiej

▪ **Jaki wpływ na pani życie codzienne ma epidemia?**

Co się zmieniło u pani w czasie izolacji?

– W moim przypadku zmieniło się bardzo dużo. Gigantyczna praca na uczelni zrobiła się jeszcze większa. Są to obserwacje nie tylko moje, ale i moich znakomitych kolegów, utytułowanych architektów z Warszawy i Gdańska, z którymi rozmawiałam. Wepchanie całego życia akademickiego w kanały wirtualne, gdzie kontakt słuchaczy z mistrzem i nasz z nimi był najważniejszy, jest mocno ograniczające. Sama natura zajęć projektowych, będących esencją edukacji architektonicznej, jest taka, że trzeba coś rysować. Przede wszystkim łatwiej pokazać coś ręcznie, w przestrzeni, czy zrobić jakiś model z kartki. Wtedy też idee podróżują lepiej. Odnoszę wrażenie, że pracujemy 2-3 razy dłużej.

▪ **Czy epidemia i pandemia są dla pani bardziej aresztem fizycznym czy mentalną wolnością, na którą teoretycznie powinno być więcej czasu niż zwykle?**

– Patrząc na to filozoficznie, doszłam do wniosku, że wszyscy obserwujemy jakieś dziwne zapętlenie czasoprzestrzeni. Przestrzeń mamy zacieśnioną do własnych domów, a czas ucieka coraz bardziej. Ja na początku zamknięcia miałam idee i postanowienia, jak wszyscy, że nadrobię zaległości w lekturze, ale ogromną część czasu zajmuje mi praca. Inną rzeczą jest to, że oprócz zajęć jako architekt – wierzący i praktykujący – otrzymuję inne zlecenia. Zawsze miałam wielką potrzebę wolności, więc dla mnie obecny czas to duże ograniczenie.

▪ **Ale czy jesteśmy w ogóle w stanie odczuć jakkolwiek wolność w tym zamknięciu?**

– Dobre pytanie, godne filozofa... Mówi się, że wolność nosi się w sobie. Dla mnie brak fizycznej wolności pozostaje rzeczywiście wielkim ograniczeniem. Zawsze bardzo dużo podróżowałam w sprawach zawodowych i publicznych.

Chociaż sama obecna pandemia nie jest dla mnie zaskoczeniem. Wiem od rodziny, że np. w czasie rewolucji bolszewickiej wybuchła potworna epidemia tyfusu. Notabene moi pradziadkowie zmarli na tę zarazę właśnie podczas kwarantanny. Tak więc świadomość tego, że istnieją okrutne epidemie dziesiątkujące ludność, towarzyszyła mi od zawsze. Stąd może moja apokaliptyczna wyobraźnia. Sam fakt mnie nie dziwi. Jak mawiają Anglicy, *it sounds any better leaves* (łatwiej się o tym słucha, niż się to przechodzi).

▪ **Początek pani studiów przypadł na okres rozszalałego komunizmu. Który areszt: ówczesny, czyli mentalny i polityczny, czy dzisiejszy, fizyczny, był w pani odczuciu gorszy?**

– Moje studia przypadły na koniec lat 80. Jak mawiają sentencjonalnie usposobieni Amerykanie, *Były to piękne czasy, mam nadzieję, że nigdy nie wrócę*. Różnica była zasadnicza, istniał oczywiście zakaz zgromadzeń, ale nikt nie zabraniał się spotykać w domach czy kościołach. Żyliśmy wtedy bardzo intensywnie towarzysko, chociaż nazwałabym to życiem utajnionym. Wielką różnicą teraz jest anomia, odspołecznienie, któremu musimy się poddać. John Lock mawiał, że *człowiek człowiekowi wilkiem*. W tej chwili człowiek człowiekowi dystansem. Przede wszystkim mogliśmy normalnie, fizycznie studiować.

▪ **Czy w czasie studiów była pani bardziej prymusem czy buntowniczą artystką?**

– Jeśli chodzi o otrzymywane oceny, na pewno nie byłam prymuską. Ale motywowało mnie stypendium. Rzeczywiście miałam bardzo artystyczne predylekcje w domu, w którym się wychowałam. Mama jest muzykiem, dziadek był kompozytorem, ojciec architektem. Dom był pełen sztuki, więc przyjaźniłam się z kolegami przysposobionymi podobnie. W tamtych czasach szalała muzyka pełna buntu. Największym ograniczeniem okazywał się brak paszportu, który i tak udawało nam się przebić, podróżując za granicę. ▶

- **Podobno największym przejawem wolności bywa nieposłuszeństwo. Czy zgadza się z pani z taką opinią?**

– Nie w pełni. Dla mnie zawsze najważniejsza była wolność słowa i podróży. Oczywiście, wydaje mi się, że nawiązuje pan do świadomego wyboru. Jeżeli jest to świadomy wybór nieposłuszeństwa, dostrzegam w tym wolność. Uważam, że życie architekta pozostaje w pewnym sensie życiem zakonnym. Życiem o trudnej regule, z jednej strony kontemplacyjnym, gdyż poświęca się mu dni i noce, a z drugiej charakterystycznym dla zakonu rycerskowalecznego, bo trzeba walczyć o swoje idee i projekty. Zbaczając na tę drogę, wybieramy trudne życie. Rzymianie mawiali: *Chcącemu nie dzieje się krzywda*. Czasem człowiek wstaje i mówi: nie tak się umawialiśmy! Pytanie, czy można się w ogóle umówić na coś z losem. Jeżeli nakładamy sobie daleko idące ograniczenia i zawsze się ich trzymamy, to wtedy możemy uznać nieposłuszeństwo innym wartościom za wolność.

- **Ludwig Mies Van der Rohe powiedział kiedyś, że lepiej być w czymś dobrym niż oryginalnym. Pani jest osobą raczej wyróżniającą się z tłumu nie tylko intelektualnie...**

– Moim zdaniem tacy genialni ludzie jak Mies byli ludźmi i dobrymi w tym, co robili, i oryginalnymi. Aczkolwiek na przykładzie architektury mogę powiedzieć, że niekoniecznie należy być oryginalnym za wszelką cenę, więc chyba Mies miał rację. Na przykład Artur Rubinstein twierdził, że talentu jest w człowieku jedynie pięć procent, a cała reszta to 95 procent pracy. Sztuka nie znosi demokracji – ja się z tym nawet zgadzam. Oryginalność idei zależy od predyspozycji intelektualnych i talentu. Każdy powinien się rozwijać. Słowo *kultura* oznacza 'uprawa'. Ten dar i ziarno, który się ma, powinno się rozwijać...

- **... bo nigdy nie wiadomo, kto z tego ziarna wykiełkuje.**

– Właśnie tak!

- **Ostatnimi czasy ludzie zaczęli bardziej doceniać zieleni i przyrodę, a ci, którzy tego nie robili, po ustąpieniu wirusa na pewno zmienią zdanie. W jakim stopniu według pani pandemia i wirus wpłynęły na suburbanizację miast?**

– Bardzo dobre pytanie, sama się nad nim zastanawiam, bo właśnie przygotowuję esej z tym związany. Obecny kurator *Biennale* w Wenecji napisał w manifestie, że potrzebna jest nowa umowa zarządzania przestrzenią. Dla mnie wnioski są niepoprawne, ponieważ przepraszam, ale powiem kolokwialnie: nigdy się nie obcyndalałam regułami poprawności, bo uważam, że stoi to w sprzeczności z twórczym myśleniem. Nie ukrywam, że okazuje się nagle, iż



lepiej i przyjemniej jest mieć swój ogród za oknem. Zawsze starałam się żyć w pewien sposób ascetyczny. Piętnaście lat temu doszłam do wniosku, że mieszkam na tyle blisko pracy, iż wszędzie mogę jeździć środkami komunikacji miejskiej, a niekoniecznie autem. Teraz takie proekologiczne nastawienie na mnie się mści! Nie jest niestety powiedziane, że wszyscy się ockną i zdecydują się żyć w ascezie bez rozdmuchanych inwestycji. Ten sam problem dotyczy przestrzeni publicznych.

- **W jednym z wywiadów powiedziała pani, że nazywany przez innych pomnikiem komunizmu Pałac Kultury i Nauki w Warszawie powinien zostać na miejscu, bo jest pięknym dziełem historii i architektury. A jak pani oceni budynki, które powstały na miejscu dawnego „szkieletora” i obok niego w Krakowie? Uważam, że owa inwestycja może być symbolem zaprzepaszczonej szansy na stworzenie nowoczesnej architektonicznej ikony naszego miasta...**

– Powiem po artyleryjsku: pytanie z grubej rury! Á propos PKiN, to jest on fizyczną ekspresją kultury, wartą ochrony jako symbolu tamtych czasów. Wiem, że w świecie architektury mądre postacie się z tym nie zgadzają.

Kiedys toczyliśmy zażarty spór z doktorem Stelmachem, dyrektorem Narodowego Instytutu Architektury i Urbanistyki. Wtedy twierdził on, że owo straszidło należy koniecznie zburzyć jako symbol obcej dominacji i hańby. Jestem odmiennego zdania. Gdyby się zburzyło Pałac Kultury i Nauki, nie pozostałby żaden ślad po dawnej, przedwojennej Warszawie i późniejszej dominacji stalinizmu. Estetyka pałacu pozostaje dla mnie odległym echem amerykańskich wieżowców art déco, choćby Empire State Building. Przechodząc do „szkieletora”, to widzę raczej w tym nawiązanie do amerykańskiego lub nawet polskiego art déco. Proszę nie oczekiwać ode mnie potępienia owej inwestycji, bo ja ją podziwiam! Podziwiam determinację inwestora i wysiłek, które doprowadziły do zakończenia budowy całości.

- **Á propos samej estetyki budynków znajdujących się przy rondzie Mogiłskim... Być może ja nie widzę tego, co uchodzi za wyjątkowość owej bryły. Czym ten budynek panią zachwyca?**

– Po prostu cieszę się, że budowa została wreszcie zakończona, bo szkielet szpecący miasto przez lata był miejską blizną Krakowa. Sądzę, że wszystko jest lepsze, niż to, co

kiedys tam istniało. Pytanie pana przypomina mi pytania o Warszawę. Warszawę, której zarzucano zbyt ekstrawagancką, głośną formę. Poznałam ją dobrze i uważam, że Warszawa, która mogła nie żyć, żyje i to bardzo intensywnie. Trudno zarzucać komuś, kto był skazany na śmierć, że jego życie nie jest tak estetyczne, jak byśmy tego chcieli.

- **Nauczyciel od rysunku powiedział mi kiedyś, że został na uczelni jako wykładowca, ponieważ po pięciu latach studiów, kiedy rano się obudził, poczuł pustkę. Czy pani decyzja o nauczaniu była spontaniczna, czy wcześniej zaplanowaną kontynuacją obranej drogi?**

– Po kilku latach pracy za granicą dojrzałam do posiadania potomstwa. Wiedziałam, że nie będę mogła tak intensywnie jak kiedyś pracować przez najbliższy czas. Trzeba było coś robić, żeby nie zardzewieć intelektualnie. Wszystkim, którzy zastanawiają się nad zrobieniem doktoratu, powtarzam rozmowę z moją cudowną cicią, która miała dwa doktoraty. Kiedy pytałam, czy go robić, ciocia powiedziała mi: „*Moje dziecko, kulturalnemu człowiekowi, a już zwłaszcza w naszej rodzinie, doktorat jeszcze nikomu nie zaszkodził*”. Zrobiłam doktorat u dr. Kadłuczki, który zaproponował mi później pracę, na co ja przystałam. Przede wszystkim przyciągnęła mnie chęć pracy w zespole, z ludźmi, dzielenie się ideami i czerpanie inspiracji.

- **Czy gdyby była pani dzisiaj studentką architektury, to czy polubiłaby pani siebie jako wykładowczynię?**

– Oczywiście! Uważam, że powinno się siebie lubić, co każdy terapeuta panu powie. Nie znaczy to, by popadać w narcystyczne samouwielbienie, bo to się zawsze źle kończy. Ja wiem, że mam opinię osoby momentami bardzo krytycznej, ale myślę, pewnie jak każdy despota, że robię to w dobrej sprawie. Edukacja musi być restrykcyjna, nie możemy się wiecznie głaskać. Rzeczą niesłychanie ważną bywa to, by robić to w sposób cywilizowany. Żeby nie łamać innych dusz. To bardzo trudny balans. Czasy są ponure, wszyscy się martwią, a ja uważam, że dystans do siebie i świata jest najważniejszy!

- **Słyszałem od studentów, że po wykładach domaga się pani dla siebie braw. Czy jest to zdeptanie pojęcia skromności czy potrzeba docenienia i dowód osobistej wolności?**

– W tym wszystkim chodzi mi o jedno – o podtrzymanie dobrych obyczajów. To jest tak ważne jak porządne ubranie się na prezentację. W architekturze niesłychanie ważne bywa uznanie. Uważam, że jeśli nie będziemy wymagać uznania dla siebie, to nikt go nam nie da. Ludzie generalnie sobie nie ufają, nie lubią się, a w zawodach artystycznych zawzięcie konkurują ze sobą i nie chcą uznać czyjeś



► wyższości. Uważam za niesłychanie ważną rzecz w zespołach, żeby chwalić i uświadamiać sobie wzajemne docenianie. Faktem jest to, że brawa to automatyczne docenienie na całym świecie. W Anglii czy Ameryce i we Włoszech to elementarna zasada cywilizacji. Coś pan dostaje, więc wypada za to podziękować. Seneka, wielki stoik rzymski, mówił, że ze wszystkich istot pod słońcem wdzięczność ma najkrótsze życie. Jeżeli nie będziemy się szanować sami, ktoś nas doceni?

- Koleżanka z roku, a pani chrześnica powiedziała mi swego czasu, że czuje się pani niekiedy rozczarowana rolą inteligencji w dzisiejszym świecie i brakiem jej blasku w oczach młodych ludzi. Czy to kwestia tego, że młodzi ludzie są coraz głupszy, czy być może wynik niezrozumienia się pokoleń?

– Absolutnie nie uważam, by młode pokolenia były coraz głupsze. Moim zdaniem mamy do czynienia z rewolucją, abstrahując od pandemii. Rzeczywiście nowe media i internet od 20 lat są wielką rewolucją i istnieją już nawet badania psychologiczne mówiące o tym, że mózg nie nadąża za przystosowaniem się do tego wszystkiego. Jesteśmy atakowani zylardami bitów! Być może to właśnie doprowadza do pewnego ogłupienia. Tak jak niektóre programy szkolne niepromujące logicznego i niezależnego myślenia, którego architektowi tak potrzeba. Mamy myśleć twórczo i niezależnie, a szkoła każe myśleć według klucza. Ludzie nie są głupszy, może ewentualnie ekspresja jest inna.

- Donald Trump powiedział kiedyś: „Bez pasji nie ma energii, bez energii nie ma życia”. Z kolei przedstawiciel młodego pokolenia muzyki hiphopowej Borys „Bedoes” Przybylski rapuje na koncertach: „Chcemy żyć, a nie tylko przeżyć”. Są to cytaty, które w jakiś sposób mogą być drogowskazami dla ludzi. A jaki cytat definiuje pani podejście do życia?

– Jestem miłośnikiem literatury antycznej, stoickie maksymy są dla mnie bardzo ważne. Uważam, że architektowi przydadzą się dwie. Jedna z nich autorstwa księżnej Izabeli d’Este: „Bez nadziei i bez lęku”; uważam, że tak należy działać! Jeżeli chodzi o krytykę poczyną, którą każdy, kto działa publicznie, bywa stale obciążony, to jestem miłośniczką maksymy, którą kazał sobie wyryć na nagrobku Stanisław Lem. Uważam go za geniusza, który miał na mnie wielki wpływ: „Zrobiłem. Kto potrafi, niechaj zrobi lepiej”.

- Jest też maksyma „W picciu trzeba znać umiar, żeby nie wypić za mało”. O ile jej dosłowny sens ma niewiele wspólnego ze Stanisławem Lemem, o tyle



drugie, mniej dosłowne, na temat życia – owszem: „Należy żyć tak, aby kiedy przyjdzie na nas czas, nie żałować, że czegoś się nie zrobiło”. Żeby nie wypić tego życia za mało. Czy zna pani umiar w picciu tego metaforycznego życia?

– Dążenie do umiaru jest wyrazem mojego rozwoju. Mam temperament i osobowość kompletnie niedzisiejszą, bo to byt określa świadomość. Tak, absolutnie nie żałuję niczego, co zrobiłam. Może jedynie dzisiaj się wstydę paru rzeczy.

Rozmawiał: MACIEJ WITWICKI

Ignacy Krasicki
Ptaszki w klatce

Czegoż płaczesz? – staremu mówił czyżyk młody –
Masz teraz lepsze w klatce niż w polu wygody.
Tyś w niej zrodzon – rzekł stary – przeto ci wybaczę;
Jam był wolny, dziś w klatce – i dlatego płaczę.

- Za kierownicą można się zasiedzieć,

a czas płynie nieubłaganie...



KAJETAN jest zawodowym kierowcą tira. W rozmowie mówi o codzienności za kierownicą, plusach i minusach pracy. Stres, wypadki, złe warunki sanitarne – to tylko niektóre aspekty najtrudniejszego zawodu świata

25

- Jesteś zawodowym kierowcą od dziewięciu lat. Skąd pomysł na taką właśnie pracę?
 - W mojej rodzinie prawie wszyscy jeżdżą, więc postanowiłem, że ja też spróbuję. Jeździłem trochę z wujkiem i ojcem, zobaczyłem, jak to wygląda. Do podjęcia decyzji przyczyniła się również chęć zarobienia większych pieniędzy.

Co jest takiego niezwykłego w zawodzie kierowcy tira?

- Wolność, a przede wszystkim różnorodność miejsc, które odwiedzam. Zawsze coś się ciekawego dzieje, nie jest nudno.

- Do jakich krajów przeważnie jeździsz i w jakim cyklu pracujesz?
 - Teraz głównie są to tylko Niemcy i Czechy. Przejeżdżam tranzytem przez dany kraj, nie mam tam rozładunku czy załadunku. Pracuję w systemie tygodniowym, weekendy spędzam w domu.

- Ile przerwy musi mieć kierowca, zanim wyruszy w kolejną trasę?
 - Minimum 24 godziny. To skrócony czas, skrócona pauza weekendowa, regularna wynosi 45 godzin. We-

dług przepisów mogę jeździć maksymalnie dziewięć godzin na dobę i w tym czasie mieć 45-minutowy odpoczynek.

- Zdarzają się sytuacje, kiedy twój rytm pracy się zmienia?

– Tak. Wszystko zależy od tego, u kogo się pracuje i co wozi. W firmach, w których byłem zatrudniony wcześniej, weekend okazywał się weekendem, zazwyczaj dłuższym. Mogłem więc planować czas wolny z dużym wyprzedzeniem. Teraz właściwie do końca nie wiem, kiedy wrócę z jednej trasy i kiedy ponownie wyjadę.

- Jakie wozisz towary?

– Właściwie wszystkie: od zwykłych palet po ładunki przestrzenne i ładunki sypkie w big bagach, niezwykle trudne do transportu i zabezpieczenia. Woziłem alkohol, elektronikę, papier toaletowy, materiały spożywcze, a nawet ciągniki siodłowe, autobusy i koparki. Zdarzały się też ładunki o sporo większych gabarytach. Wówczas jeździ się w tak zwanym konwoju, w kilka samochodów. To o wiele trudniejsza trasa, wszystko trzeba z wielkim wyprzedzeniem zaplanować, by ominąć wąskie ulice czy ►

► małe ronda. Obecnie wożę podzespoły i części samochodowe do dużych fabryk i koncernów motoryzacyjnych.

▪ **Wyjeżdżałeś w trasy dłuższe niż tygodniowe?**

– Tak, tylko że nie wiedziałem, iż wyjeżdżam w tak długą trasę. Zdarzyło się, że musiałem spędzić weekend za granicą, nie wróciłem do domu. A potem normalnie należało wyjechać w trasę zaplanowaną na nowy tydzień. Nie spędziłem więcej niż 2 tygodnie w trasie bez powrotu do domu.

▪ **Wolisz jeździć po kraju czy lepiej się czujesz na długich dystansach za granicą?**

– Zdecydowanie wolę długie dystanse, ponieważ jest pewność, że się będzie więcej jeździć, niż stać. Po Polsce lubię jeździć pod warunkiem, że wracam z zagranicy na rozładunek i znowu wyruszam w trasę.

▪ **Podobno podczas długodystansowej jazdy kierowcy tirów wzajemnie się wyprzedzają. Z czego to wynika?**

– Jednym z powodów jest czas i przejechany dystans. Jeżeli jeden kierowca jedzie z prędkością 90 km/h, a drugi 85 km/h, to na 100 km udaje się zyskać 5 km, czyli cały dystans przejechać szybciej, jakieś 7-8 minut. Dziennie ciężarówka potrafi przejechać nawet 800 km, więc szybsza jazda daje 40 km. Dla niektórych kierowców oznacza to szybszy dojazd do bazy na rozładunek, załadunek czy powrót do domu. Innym powodem szybszej jazdy jest monotonia. Siedzisz za kierownicą, jest długa, prosta droga i 200 km do przejechania tym samym pasem. Oczywiście, wszystko należy robić z głową, bezpiecznie dla samych siebie i innych uczestników ruchu. Broń Boże, nie wolno szarżować!

▪ **Jak wyglądają twoje przygotowania do tygodniowego wyjazdu?**

– Jeśli chodzi o odzież, to przygotowuję ją tak, jakbym się wybierał w drogę na dwa tygodnie. Nigdy przecież nie wiadomo, czy człowieka nie spotka w trasie coś niespodziewanego. Lepiej zatem mieć więcej czystych ciuchów, niż je później prać. To tak, jakby jechać na biwak. Bierzesz niezbędne rzeczy, garnki, ciuchy, bańkę na wodę i samą wodę oczywiście też. Jeśli chodzi o jedzenie, to mam w aucie lodówkę, więc zwykle zabieram żywność świeżą, mniej przetworzoną, również łatwą w przygotowaniu, mało czasochłonną, którą później daje się np. odgrzać. W kabinie jestem sobie w stanie ugotować makaron, ryż czy kaszę. Jednak po drodze wszędzie są sklepy, a zatem jeśli mi czegoś zabraknie, zawsze mogę coś dokupić.

▪ **Opowiedz coś o typowym dniu pracy kierowcy tira...**

– Nie ma nigdy dwóch takich samych dni, każdy jest

inny, gdyż wiele rzeczy może się w każdym momencie na drodze zdarzyć. Zazwyczaj bywa tak, że człowiek sobie coś zaplanuje, a potem nic z tego nie wychodzi. Wiele razy myślałem o szybkim załadunku i powrocie do domu lub o dojeździe do punktu docelowego, a tu się okazało, że nie ma towaru i trzeba czekać. Albo coś się zepsuje i czeka się na naprawę dwa lub trzy dni...

▪ **Kiedy w trasie masz czas wolny, to jak go wykorzystujesz?**

– Zazwyczaj czytam jakąś książkę lub oglądam film, niekiedy gram w jakąś grę. Zdarza mi się ćwiczyć na pustej naczepie. Kiedy jestem w ciekawym miejscu, mieście, to idę poznać to i owo. Czasami bywam po długiej jeździe zmęczony, więc wolę zwyczajnie odpocząć.

▪ **A warunki sanitarne, dostęp do nich?**

– Na trasie zazwyczaj korzystam z płatnych toalet, bo wyglądają nieco lepiej, jeśli chodzi o poziom utrzymywania czystości. Darmowe prawie zawsze znajdują się w opłakanym stanie i to głównie za sprawą użytkowników. To samo jest z prysznicami. Czasami wyglądają tak, jakby ich nikt nigdy nie sprzątał. Na ścianach i suficie zalega grzyb, w środku panuje wszechogarniający smród i jest zimno. W miejscach załadunków czy rozładunków często brakuje dostępu do toalety...

▪ **Jak wygląda samo wyposażenie kabiny?**

– W standardzie są łóżko, dwa fotele, lodówka i radio. Reszta rzeczy jest moich: kuchenka turystyczna, garnki, sztućce, pościel, drobne narzędzia, akcesoria do sprzątnia. Niekiedy kierowcy spędzający w trasie długie tygodnie ozdabiają kabiny zdjęciami bliskich, ulubionymi maskotkami czy też miniaturką polskiej flagi. Wszystko po to, by poczuć się choć trochę jak w domu.

▪ **Czy przytrafiło ci się coś niebezpiecznego na drodze?**

– Tak, było to całkiem niedawno na autostradzie, ciężarówka się zapaliła. Wcześniej złapałem kapcia, a w zasadzie dwa, na bliźniaczych kołach na osi ciągnącej w ciągu siodłowym. Jadąc pasem awaryjnym, próbowałem pod eskortą policji dojechać do najbliższego zjazdu, by na polecenie szefa spokojnie wymienić koła. Niestety po przejechaniu półtora kilometra tak się wszystko nagrzało, że pojawiły się płomienie. W ruch poszły gaśnice, powstały kłęby dymu. Robiłem wszystko, by uratować naczepę, na szczęście ogień udało się ugasić, przyczepa się nie zapaliła.

▪ **A podczas postojów i przerw na parkingach? Tyle się słyszy o kradzieżach, włamaniach, pobiciach...**

– Kradzieże, włamania albo rzucanie kamieniami w ciężarówkę zdarzają się dosyć często. W różnych krajach wygląda to różnie. Sam na szczęście niczego złego nie doświadczyłem, kilka razy pocięto mi jedynie plandekę naczepy. Złodzieje chcieli wiedzieć, co jest w środku. Ale w końcu odpuścili...

▪ **Panuje powszechne przekonanie, że kierowcy tirów korzystają z usług prostytutek. Czy to prawda?**

– Tak. Kierowcy korzystali, korzystają i będą korzystać z usług kobiet lekkich obyczajów. Można to zobaczyć głównie na dużych, zagranicznych parkingach w Rumunii czy na Węgrzech. Mnie to nie interesuje...

▪ **Z jakimi innymi wyzwaniami zmagają się kierowcy tirów?**

– Na pewno ze zmęczeniem i stresem, a także nieregularnym odżywianiem się. Stres to element przewodni pracy kierowcy tira. Ogólnie stan zdrowia kierowców zawodowych nie należy do zbyt dobrych. Nie mają kiedy chodzić do lekarzy i dentystów...

▪ **Jak ma się praca kierowcy tira w dobie obecnej sytuacji związanej z pandemią koronawirusa?**

– Niektórzy traktują nas tak, jakbyśmy wrócili z Czarnobyli zaraz po wybuchu elektrowni. Patrzą na nas dziwnym, pogardliwym wzrokiem, niekiedy wytykają nawet palcami. Zdarzają się sytuacje, gdy osoby bliskie z otoczenia kierowcy są wypraszane ze sklepu lub wysyłane na przymusowy urlop w pracy. Sam nie spotkałem się z żadną przykrością. Będąc w trasie, właściwie nie mam styczności z tak dużą liczbą osób jak przykładowo kasjerka w sklepie.

▪ **Jak wyglądała praca kierowcy kiedyś, na początku twojej drogi, a jak wygląda dzisiaj? Z pewnością dostrzegasz różnice...**

– Zdecydowanie poprawiła się jakość sprzętu i stanu technicznego pojazdów. Powodem są o wiele częstsze niż kiedyś kontrole drogowe i te odgórnie narzucane przez firmy. Kiedy wyrusza się za granicę, sprzęt musi być w zasadzie bezawaryjny. Za granicą opłaty za serwisy są wysokie, więc należy zrobić wszystko, by samochód bezpiecznie i bezusterkowo dojechał do celu. Jest też jedna spora poprawa na lepsze. Mam tutaj na myśli szanowanie czasu pracy kierowcy. Powodem owej poprawy stały się wysokie kary, jakie nakłada się na kierowców i przedsiębiorców za nieprzestrzeganie czasu pracy prowadzącego pojazd. Ponadto znacznie poprawiła się jakość polskich dróg.

▪ **A zarobki? Czy bardzo się zmieniły w ciągu ostatnich lat?**

– Tak, w każdej branży zarobki poszły w górę, więc u kierowców tirów też. Jednak nie zawsze są to kwoty widniejące na papierze i wynikające z warunków zatrudnienia. Rozpiętość między tym, co kierowcy dostają oficjalnie, a tym, co im się rzeczywiście płaci, jest duża.

▪ **Z tego, co mówisz, wynika, że kierowcy tirów są wykorzystywani przez firmy, jeśli chodzi o wynagrodzenie?**

– Skoro obydwie strony się na to zgadzają, to chyba nie jest tak źle. Jeśli jakiś kierowca narzeka, to głównie na forum internetowym lub podczas rozmowy z innym kierowcą. Zawsze może jednak poszukać innej, lepszej pracy...

▪ **Ile samochodów przeszło przez twoje ręce? Masz ulubioną markę pojazdu?**

– Jestem fanem samochodu marki MAN, ponieważ ma bardzo przestrzenną kabinę i podoba mi się wizualnie. Jeździłem też na starszych i mniej zadbanych pojazdach. Zdarzało się jednak i tak, że odbierałem samochody z salonu.

▪ **Czy wysłano cię kiedyś w trasę niesprawnym samochodem?**

– Wielokrotnie. Na początku przejeździłem rozmaite trasy nie w pełni sprawnymi samochodami, psującymi się przed wyruszeniem w trasę bądź w trakcie jazdy. Pamiętam, jak ostro zahamowałem we Wrocławiu i przecięłem skrzyżowanie przez pas zieleni i żywopłot. Całe szczęście, że było to nocą, a na drodze pusto. Podobna sytuacja przydarzyła mi się w Poznaniu: po zahamowaniu znalazłem się w poprzek na trzech pasach. Szczęśliwie nie doszło do wypadku z innymi pojazdami. O wielu rzeczach człowiek nie miał początkowo pojęcia, wszystkiego dopiero się uczyłem.

▪ **Miałeś jakieś nieprzyjemne sytuacje ze strony szefostwa i spedytorów?**

– Wiele razy, zwłaszcza wtedy, gdy trafiałem na niekompetentnych przełożonych. Ze spedytorami jest inaczej, człowiek ma więcej odwagi powiedzieć to i owo. Kiedy się zadrze z szefem, zazwyczaj trzeba szukać nowej pracy.

▪ **Wiążesz przyszłość z dalszą jazdą za kierownicą ciężarówki? A może myślisz o pracy na własny rachunek?**

– Myślałem o założeniu własnej firmy transportowej, ale w dobie koronawirusa nie jest to takie proste. Łatwo założyć firmę, jednak trudniej ją utrzymać. Na razie jeżdżę więc u kogoś, ale będę próbował paru innych rzeczy. Za kierownicą można się zasiedzieć, a czas płynie nieubłaganie.

Rozmawiała: IWONA FILIPIAK

Nauczycielka języka polskiego może wysłać uczniom coś do czytania, a nauczyciel matematyki zadania do rozwiązywania. A my, wuefiści? Nie wiedzieliśmy, w jakiej formie prowadzić lekcje...

WF przez internet

Rozmowa z Arturem Zemlakiem, nauczycielem wychowania fizycznego w Liceum ogólnokształcącym im. Bolesława Chrobrego w Pszczynie



28

- Czy może pan opowiedzieć, jak wyglądają lekcje WF-u podczas epidemii koronawirusa i zawieszenia lekcji w szkołach?

– Nie są to klasyczne lekcje WF-u. Podsuwamy jedynie uczniom pomysły na ćwiczenia. Chcemy ich jakoś zachęcić do ruchu, tak by mogli się na chwilę oderwać od komputera i telefonu. Na początku epidemii nikt z nas nie wiedział, co robić. Mieliśmy parę pomysłów, jednak niełatwo było je wprowadzić w życie.

- Mówi pan: „nikt z nas nie wiedział, co robić”. Kogo dokładnie ma pan na myśli?

– Chodzi o wuefistów naszego liceum. Razem zebraliśmy się, a w zasadzie stworzyliśmy grupę na WhatsAppie. Tam wymieniamy się informacjami dotyczącymi pracy. To się tak tylko wydaje, ale stanęliśmy przed nowym wyzwaniem. Musieliśmy wprowadzić nietypowe rozwiązania. Najgorszy jednak był początkowy etap epidemii, ogólna niewiedza i chaos.

- Z jakimi problemami musieliście się zmierzyć?

– Zaczęło się od tego, że sytuacja związana z wirusem zaskoczyła nas wszystkich. Z dnia na dzień szkoła przestała działać. Potem dostałem wiadomość od dyrektorki, że zaczynamy prowadzić lekcje on-line. Wszyscy czekaliśmy na jakieś wytyczne od rządu. Nie dostaliśmy żadnych konkretnych informacji, więc wątpliwości było sporo. Wiadomo, że na przykład nauczycielka języka polskiego może wysłać uczniom coś do czytania, a nauczyciel matematyki zadania do rozwiązywania. A my, wuefiści? Nie wiedzieliśmy, w jakiej formie prowadzić zajęcia.

- Ale jednak udało się panu znaleźć rozwiązanie?

– Tak, przede wszystkim nie chcieliśmy za dużo zadawać młodzieży. Mieliśmy parę pomysłów. Jednym z nich było

nagrywanie ćwiczeń i wysyłanie ich potem w formie wideo. Jednak szybko zarzuciliśmy ów pomysł. Postanowiliśmy przygotowywać uczniom zadania pisemne, tak jak robią to nauczyciele innych przedmiotów.

- Czy nie uważał pan, że to trochę za dużo? Na lekcjach WF-u chodzi przecież głównie o aktywność fizyczną...

– Tak, to prawda. Bardzo szybko to zweryfikowaliśmy. Zaczęły się pierwsze telefony od rodziców, dlaczego zadajemy ich pociechom kolejne prace do napisania. Tak naprawdę chcieliśmy, aby młodzież zrobiła sobie test BMI, czyli obliczenie wskaźnika masy ciała. Kolejnym zadaniem było przeanalizowanie wybranego meczu siatkówki. Niestety, z powodu koronawirusa mecze też się przestały odbywać, więc nic z tego nie wyszło.

- Co jeszcze mówili rodzice podczas rozmów telefonicznych?

– Dlaczego nie zdajemy ćwiczeń lub nie zachęcamy młodzieży do wyjścia na spacer? Z naszej strony wyglądało to całkiem inaczej. Baliśmy się tego, że dziecko podczas ćwiczeń zadanych w domu zrobi sobie krzywdę. Nikt nie wie, do kogo byłyby kierowane później roszczenia. Wiadomo, to trochę czarnowidztwo. Jednak problem był odgórny, nie dostaliśmy żadnych informacji, czy takie konsekwencje mogłyby być brane pod uwagę.

- Ta sytuacja zdecydowanie przerosła nas wszystkich...

– Myślę, że nikt do końca nie potrafił się odnaleźć w nowej rzeczywistości. Zdaję sobie sprawę z tego, że uczniowie są obciążeni nauką. W najgorszym położeniu znaleźli się maturzyści. Przed nimi ważne egzaminy, a nauka stała w miejscu. Do wszystkiego doszedł strach i niepewność

co do kolejnych wydarzeń. Postanowiliśmy z innymi wuefistami zmienić plan działania. Stworzyliśmy na Facebooku grupę, do której mają dostęp wszyscy uczniowie liceum. Tam dodajemy propozycje ćwiczeń. Są to ćwiczenia ogólnorozwojowe i aerobowe.

▪ **Rozumiem, że dzisiaj WF przeniósł się na Facebooka!**

– Trochę rzeczywiście tak. Najważniejszy jednak dla mnie jest kontakt z uczniami. Oprócz ćwiczeń, które im proponuję, staram się z nimi rozmawiać. Co jakiś czas kontaktuję się telefonicznie z przewodniczącymi klas. Tłumaczę, co mają zrobić na zaliczenie, ale też pytam, jak sobie radzą. Prawda jest taka, że my, nauczyciele, sami do końca nie wiemy, jak ma wyglądać to całe zdalne nauczanie. Nie jesteśmy na to przygotowani. Trudnością okazało się nawet korzystanie z Facebooka i innych aplikacji. Nie każdy z nas używał tego urządzenia zdalnego na co dzień, więc szybko musieliśmy się nauczyć korzystać z tych technologii.

▪ **Mówił pan o zaliczeniach. Jak one wyglądają? Na jakiej podstawie ocenia pan uczniów?**

– Tutaj liczy się aktywność i kontakt z uczniem. Muszę im zaufać, że wykonali ćwiczenia, które zaproponowałem. Trudno jednak ocenić taką pracę. Dlatego też początkowym pomysłem były – jak już wspomniałem – prace pisemne. Myślę, że trzeba czekać na rozwój sytuacji i ewentualne oceny wystawić później.

▪ **Jak wygląda zatem pana dzień pracy?**

– Od poniedziałku do piątku pracuję zdalnie. Uczniowie powinni się logować na e-dziennik według planu zajęć. Na tej podstawie widzę ich aktywność. Proponuję ćwiczenia, które również są udostępniane na Facebooku. Do pracy doszło dużo papierologii, albo raczej uzupełniania dziennika elektronicznego.

▪ **Co sami uczniowie mówią o takich zajęciach?**

– Najbardziej zaskoczyły mnie dziewczyny, które bardzo zaangażowały się w ćwiczenia w domu. Same proponują własne zestawy treningowe. Cieszę się z takiego odbioru, wtedy widzę aktywność uczniów. Ważne jest to, by młodzież dbała o zdrowie. Niestety, epidemia jeszcze bardziej przyssała młodych ludzi do biurka. Nie tylko ich, ale i dorosłych. Każda aktywność jest wskazana, nie chodzi o to, aby wykonywać skomplikowane ćwiczenia, tylko o to, by na chwilę wstać z krzesła i się poruszać. Są też uczniowie, którzy nie do końca zaakceptowali nasze propozycje zajęć. Jeden z nich napisał, że nie ma zamiaru wykonywać żadnych ćwiczeń, ponieważ czuje się dobrze w swoim ciele i nie będzie niczego zmieniać.

▪ **A zatem co można w takim wypadku zrobić?**

– Zawsze staram się postawić w sytuacji ucznia. Nie wszyscy w domu mają przestrzeń do ćwiczeń, różne są też stosunki w rodzinie. Ja chcę tylko zachęcić młodzież do ruchu. Wiem również, że będę rozliczany ze swojej pracy. Jednak nikogo nie zamierzam do czegoś zmuszać. Uczniowie z liceum to już prawie ludzie dorośli, jedyne więc, co leży w mojej roli, to proponowanie, nigdy zaś nakazywanie.

▪ **Jednym słowem, lekcje wyglądają tak, że od poniedziałku do piątku wysyła pan uczniom ćwiczenia, które muszą wykonać...**

– Tak, nie muszą, to jest wyłącznie propozycja. Po konsultacji z innymi wuefistami wysyłamy na Facebooku link z filmikiem lub opis ćwiczeń na dany dzień. Uczniowie, którzy mają wtedy WF, wykonują je w domu.

▪ **Myśli pan, że kiedy skończy się czas epidemii, więcej uczniów zacznie uczestniczyć w lekcjach?**

– Trudno powiedzieć, ale tendencja jest raczej odwrotna. Młodzież często unika lekcji WF-u. Uczniowie przynoszą zwolnienia lekarskie lub po prostu w ogóle na lekcje nie przychodzą. Problem leży często w tym, że w szkołach brakuje miejsc z prysznicami i czasu na to, by można się było spokojnie przygotować do następnych lekcji. Program nauczania również narzuca swoje reguły i brakuje zajęć, które by uczniowie chcieli. Myślę, że jest szansa na to, ale musiałyby nastąpić konkretne zmiany w systemie nauczania.

▪ **Chciałby pan już wrócić do normalnego nauczania?**

– Tak, bardzo. Nie dla mnie jest świat technologii, wolę prawdziwy kontakt z uczniami. Widzę wtedy ich reakcje podczas zajęć. Mogę również z nimi porozmawiać i nie tylko są to rozmowy o lekcjach WF-u. To młode osoby dopiero co wchodzące w świat dorosłych, nierzadko same mówią o swoich problemach. Szkoła jest potrzebna nie tylko do nauczania, ale i utrzymywania kontaktów z rówieśnikami, nauczycielami.

▪ **Czyli nie wyobraża pan sobie szkoły, w której nauczanie odbywa się tylko zdalnie?**

– Nie, zatracą się wówczas wszystkie ważne wartości. Młodzież musi mieć kontakt z ludźmi, uczyć się nawiązywać więzi społeczne. Jeśliby zdalne nauczanie stało się faktem na dłuższą metę, to myślę, że mój zawód byłby narażony na powolne wymieranie. Zastąpiłaby go pewnie jakaś nowoczesna technologia. Mam nadzieję, że za jakiś czas wszystko wróci do normy.

Rozmawiała: AGNIESZKA ZEMLAK

Jeśli za pierwszym razem nie trafiło się z wyborem studiów, powinno się go zmienić. Każde doświadczenie jest ważne, ale jeśli nie mamy w przyszłości zamiaru wykorzystać zdobytej wiedzy, lepiej obrać inną ścieżkę życiową

– Na zmiany nigdy nie jest za późno...

Rozmowa z Joanną Florek, laureatką nagrody Top Young 100, o tym, jak zostać studentem sukcesu i nie iść utartym szlakiem

30

▪ Jesteś przykładem tego, że można osiągnąć bardzo wiele, będąc tylko i aż studentką. Mam tu na myśli twój udział w projekcie i zdobycie I nagrody Top Young 100 na „Oscarach Logistyki”. Jak to się wszystko się zaczęło i jak udało ci się poprowadzić twój zespół do zwycięstwa?

– Może zacznę od tego, jak trafiłam do projektu. Stało się to całkiem przez przypadek. Znalazłam ogłoszenie na grupie ze studiów, które opublikowała nasza pani profesor. To był moment, kiedy skończyłam pierwszy staż w banku. Zostały mi wyłącznie studia. Nie wiedziałam, co zrobić z wolnym czasem. Czułam, że to za mało tylko studiować. Parę dni po odbyciu stażu zobaczyłam ogłoszenie o projekcie z dopiskiem „Dla najlepszych studentów logistyki w Polsce”. Z tego, co pamiętam, zostało wtedy kilka godzin do końca zapisów. Stwierdziłam, że nie ma czasu zagłębiać się w temat, tylko aplikować. Pomyślałam: „I tak nie mam szans, ale co mi szkodzi wziąć udział”. Wysłałam zgłoszenie i po kilku tygodniach dostałam odpowiedź na e-maila, że przesłałam pierwszy etap rekrutacji. Wtedy dopiero zaczęłam panikować, nie wiedziałam, czego w ogóle dotyczy ów projekt. Trwa cały rok, składają się na niego różne zadania-wyzwania biznesowe, głównie te realizowane w grupach. Co więcej, zapewniano indywidualną opiekę mentora ze świata biznesu. Zazwyczaj to dyrektor lub menadżer dużej firmy logistycznej. Dotarło do mnie, że chodzi o projekt dużego formatu. Po pierwszym etapie zaczęłam mieć nadzieję, że może to się jednak udać.

▪ A później pojawił się stres...

– Tak, bo od tego momentu należało się już postarać. Dużo wysiłku kosztowało mnie to, by stworzyć projekt aplikacji usprawniającej łańcuch dostaw, który należało zaprezentować w II etapie rekrutacji. Później czekała mnie rozmowa kwalifikacyjna i obrona projektu tejże aplikacji. Gdybym na początku wiedziała, że jest on tak rozbudowany i wymagający, tobym na pewno nie aplikowała. Uratowało mnie to, że nie byłam świadoma, w co się pakuję. Później, jak już przesłałam pierwszy etap, to stwierdziłam, że jest za późno na wycofanie się, że trzeba spróbować do końca, postarać się. Udało mi się dostać do projektu realizowanego dla Coca-Coli, który polegał na usprawnieniu przepływu magazynów w związku z jego planowaną przebudową. Nigdy nie byłam liderem żadnego zespołu i przypadek sprawił, że zostałam wybrana, ponieważ mieszkałam najbliżej magazynu i firmy zlokalizowanej w Krakowie. Wytypowano mnie logistycznie (*śmiech*).

▪ Jak to się stało, że cztery dziewczyny, każda z innej części Polski, tak świetnie poradziły sobie z projektem?

– O naszej wygranej zdecydowały trzy czynniki. Przede wszystkim to, że trafiłyśmy na zgrany zespół. Dziewczyny wiedziały, jak się pracuje w grupie, miały doświadczenie i obycie. Wszystkie decyzje podejmowałyśmy wspólnie. Dyskutowałyśmy, brałyśmy pod uwagę wszelkie za i przeciw. Projekt trwał pół roku i nigdy nie znalazłyśmy się w żadnej sytuacji konfliktowej. Za nasz wkład pracy nikt nam nie płacił, a mimo to nasze starania i zaangażowanie było ogromne. Drugi czynnik to



nasi opiekunowie z firmy, którzy przedstawili nam założenia i wymagania organizacji i całego projektu. Okazali się wzorowi. Kontaktowaliśmy się z nimi raz w tygodniu. Jednym z nich był dyrektor działu logistyki na Polskę i rejon Europy Wschodniej, odpowiadał dosłownie na każde nasze zwołanie. Kiedy miałyśmy jakiś problem, nigdy nie odmówił nam spotkania lub wideokonferencji. Świadomość tego, że wszyscy w firmie traktują nas poważnie, podnosiło nas na duchu.

- **Jednym słowem, prezesi dużych firm wcale nie są osobami niedostępnymi, jak się powszechnie sądzi.** Okazuje się, że można do nich dotrzeć, a co więcej – sami chętnie dzielą się doświadczeniem.
 - Właśnie, tym bardziej że bardzo wczuli się w naszą sytuację, wiedzieli, jak to wygląda z naszego punktu widzenia, że nie mamy doświadczenia w tym, co robimy, że to nasz pierwszy projekt. Nie wypominali nam braku wiedzy, nie było z ich strony lekceważenia i demonstrowania wyższości. Uznali ów brak wiedzy w niektórych sprawach za nasz atut.
- **Takie czyste kartki do zapisania...**
 - Tak, mówili, że w przeciwieństwie do nas oni myślą schematycznie, gdyż siedzą w łańcuchu dostaw od 20 lat i nie są w stanie wymyślić niczego innowacyjnego. A my

z racji tego, że jesteśmy nowe i nie znamy tego procesu, możemy akurat wpaść na coś, czego do tej pory nie było.

- **A potem okazało się, że jesteście w trójce wyróżnionych...**
 - W ogóle nie nastawialiśmy się na wygraną. Już na początku było powiedziane, że trzy najlepsze zespoły spośród 25 zostaną wyróżnione i pojadą na Galę Logistyki. Prawdopodobieństwo zdobycia nagrody było więc bardzo małe. Ale nam naprawdę nie chodziło o zwycięstwo, jednak dzięki dobrej współpracy byliśmy w stanie zrobić bardzo wiele.
- **Jak wyglądał wasz przykładowy dzień projektowy? Trudno jest dobrze zorganizować sobie czas przy takim natłoku pracy?**
 - Przez pierwsze trzy miesiące jedynie analizowaliśmy dane. Dopiero w kolejnym etapie zaczęłyśmy się orientować, w czym bierzemy udział, i wypracowałyśmy własne metody działania. Początkowo każda z nas indywidualnie zajmowała się wybranym zadaniem, stając się poniekąd specjalistką w danej dziedzinie. To nie było dobre rozwiązanie, bo reszta grupy nie miała dostępu do tych informacji i tylko ta jedna osoba mogła do czegoś dojść, wpaść na jakiś pomysł, a my po prostu nie byliśmy w stanie jej

► pomóc. Dlatego później postanowiliśmy, że wspólnie będziemy się zajmować każdym aspektem projektu. Zdzwanialiśmy się dwa razy w tygodniu po 3-4 godziny. Dzięki pracy w grupie byliśmy w stanie znaleźć każdy drobny błąd danych w zbiorze tysięcy kolumn w Excelu, często poświęcając na to kilka godzin. Ostatnie dwa tygodnie projektu okazały się naprawdę ekstremalne (*śmiech*).

▪ **Dzielnie wytrwaliście do końca...**

– W dniu prezentacji byliśmy bardzo szczęśliwi. Firma nie kryła zadowolenia, chociaż na bieżąco prezesi orientowali się w postępach naszej pracy. Stworzyliśmy mechanizm usprawniający wywóz palet z magazynu. Pomysł okazał się innowacyjny.

▪ **A później dostaliście poufne informacje o wygranej...**

– Podejrzewaliśmy, że nasz projekt ma realną szansę zdobycia wysokiego miejsca w konkursie. Oceny, jakie otrzymaliśmy od komisji, w skład której wchodził profesor akademicki, opiekun z firmy Coca-Cola i przedstawiciel biura Programu Top Young 100, były bardzo dobre. Na zjeździe integracyjnym wszystkich uczestników tej edycji w Wojanowie otrzymaliśmy oficjalne zaproszenie na Galę Logistyki. W środowisku logistycznym jest to najbardziej prestiżowa impreza roku.

▪ **Jakie to uczucie stać na scenie obok Tomasza Kammela i przemawiać do takiej publiczności? Zaproszeni goście reprezentowali najlepsze marki i firmy transportowo-logistyczne w Polsce!**

– Było to dla mnie niezwykłym przeżyciem. Na szczęście nie widziałam twarzy osób siedzących na widowni, ponieważ padały na mnie światła reflektorów. Jednak sama świadomość tego, że zaproszeni goście to osoby bardzo wysoko postawione, mocno mnie przerażała. Odbierałam nagrodę wspólnie z przedstawicielami najlepszych firm logistycznych w Polsce. Zabierając głos, podkreśliłam, że Top Young 100 to bardzo ważna inicjatywa skierowana do studentów, mocno rozwojowa.

▪ **Co najbardziej wyniosłaś z doświadczenia Top Young 100?**

– Dzięki udziałowi w projekcie nabrałam pewności siebie. Ocena bardzo dobra, jaką otrzymaliśmy za projekt, oznaczała, że nadaje się on do bezpośredniego wdrożenia. Nasza sześciomiesięczna praca i wysiłek zaowocowały tym, że zaproponowaliśmy dobre rozwiązanie na zoptymalizowanie magazynów dla Coca-Coli. Cenię sobie również to,



że mogłam współpracować z dyrektorami i poznać środowisko biznesowe z tej drugiej strony, dowiedzieć się, jakie ono jest naprawdę.

▪ **Jesteś absolwentką logistyki na Uniwersytecie Ekonomicznym. Co dają młodej osobie dzisiaj studia? Jedni twierdzą, że wnoszą niewiele, że chodzi wyłącznie o „papierek”, który trzeba mieć. Inni uważają ten okres za najpiękniejsze lata życia młodej osoby i nieoceniony czas na kształcenie i samorealizację.**

– Z mojej perspektywy jako już absolwentki studia były czasem na zastanowienie się, co naprawdę chcę robić w życiu, bo też nie od razu trafiłam na logistykę. Najpierw były ekologiczne źródła energii na Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Poza tym działałam aktywnie w różnych organizacjach studenckich, co pozwoliło mi poznać ludzi, którzy inspirowali mnie do podejmowania różnych działań.

▪ **Miałaś z pewnością okazję podczas gali porozmawiania z prezesami (CEO) dużych firm. Jacy oni właściwie są? Utało się, że pozostają niedostępni. Niejeden młody człowiek marzy o zostaniu w przyszłości CEO dużej firmy lub rozkręceniu własnego biznesu...**

– Byliśmy na gali jedynymi studentkami, więc podchodzono do nas i nam gratulowano, proponowano odbycie stażu. W moim przekonaniu owi prezesi są ludzcy, przystępni, bardzo sympatyczni.

▪ **Mówi się o milenialsach, że nie szukają autorytetów, żyją w przekonaniu, że wszystko jest w ich rękach i nikt nie może im nic narzucić. Utożsamiasz się z tymi słowami?**

– Trudno mówić za wszystkich studentów, ale uważam, że młodzi rzeczywiście nie szukają dzisiaj autorytetów. Ja jednak dzięki udziałowi w Top Young 100 poznałam osoby będące dla mnie drogowskazem. Moja mentorka, menadżer firmy transportowej, na jednym ze spotkań powiedziała mi, że studentom bardzo zazdrości, że mogą się rozwijać, realizować zawodowo. Wystarczy tylko chcieć, mieć czas i motywację. Nasze pokolenie z tego rzeczywiście korzysta, nie boi się podejmowania wyzwań.



- Co tak naprawdę jest ważne w dzisiejszych czasach dla młodego człowieka?
 - Dawniej priorytetem było znalezienie dobrej pracy. Teraz myślę, że po prostu szukamy zadowolenia, jakiegoś hobby, stawianie na rozwój osobisty, a mniej interesuje nas wspinanie się po szczeblach kariery i zarabianie coraz więcej pieniędzy. Praca musi nas wszechstronnie rozwijać, być okazją do poznawania nowych ludzi.
- Wiem, że ty ową stabilizację zawodową już masz, pracujesz w firmie zagranicznej...
 - Obecnie jestem specjalistką w dziale zakupów od zaopatrzenia w firmie brytyjskiej Bell pracującej dla angielskiego klienta. To właśnie dzięki udziałowi w programie Top Young 100 zdobyłam to zatrudnienie. Wcześniej miałam kłopot ze znalezieniem miejsca w firmie typowo logistycznej.
- Teraz już myślisz o odbyciu stażu w Conseil Européen pour la Recherche Nucléaire (w skrócie CERN), czyli dawnej Europejskiej Radzie Badań Jądrowych, a obecnie Europejskiej Organizacji Badań Jądrowych. Logistyka i fizyka to dosyć odległe dziedziny...
 - Dowiedziałam się o tym przypadkiem, mój znajomy odbywał tam staż. Jest to największy na świecie ośrodek, gdzie przeprowadza się badania nad fizyką kwantową. Od dawna hobbistycznie interesuję się astronomią i fizyką. Nie jestem wielkim znawcą tematu, po prostu to moje małe hobby. Poznałam też inne osoby pracujące w CERN-ie, wybrałam się tam na dni otwarte. Miejsce mnie oczarowało, było jak kadr z filmu futurystycznego. Mają tam jedyną na świecie fabrykę antymaterii. Wszystko, co nas otacza, jest materią, a oni produkują antymaterię, więc to całkowite zaprzeczenie rzeczywistości. Okazuje się, że do takiego miejsca potrzebują nie tylko naukowców. Nie wiedziałam, że istnieje tam coś takiego jak staż administracyjny. Złożyłam aplikację, ale nie oczekiwałam odpowiedzi. Tymczasem dostałam dwie wiadomości od inżynierów z CERN-u zainteresowanych moim podaniem o pracę. Jeden z zespołów pracował bezpośrednio przy Wielkim Zderzaczu Hadronów i potrzebował kogoś z logistyki znającego język francuski. Żeby polepszyć swój profil, ze studiów zaocznych przeszłam na dzienne i po-

prawiłam średnią ocen tylko po to, by mieć większe szanse, gdyż do CERN-u aplikują najlepsi studenci z całego świata. Na razie się nie udało, ale kto wie – może za rok? (śmiech).

- Jak studiować dobrze i wynieść z tego jak najwięcej, mając na uwadze to, że wyższa edukacja nie zawsze spełnia oczekiwania młodego człowieka?
 - Zabrzmiało to bardzo sztampowo, ale zachęcam młode osoby do angażowania się w rozmaite inicjatywy studenckie, żeby nie żyć wyłącznie studiami. Dla mnie były one taką furtką do rozwoju. To, czego nauczyłam się na studiach, nie zawsze się pokrywało z zadaniami, jakie wykonywałam później w pracy, jednak na pewno stanowią one przepustkę do kolejnych etapów naszej kariery.
- Gdybyś miała porównać swą 3,5-letnią edukację na Uniwersytecie Ekonomicznym i pracę nad projektem Top Young 100, to które doświadczenie okazało się dla ciebie ważniejsze?
 - Myślę, że mimo wszystko studia. Na UEK-u duży nacisk kładzie się na działania zespołowe. Liczy się nie tylko wiedza teoretyczna, ale przede wszystkim umiejętność pracy z ludźmi. To właśnie idealnie się sprawdziło podczas realizowania projektu. Bez statusu studenta nie mogłam aplikować do CERN-u ani wziąć udziału w żadnym innym przedsięwzięciu. Podobnie bywa z wymianami studenckimi. Moja uczelnia jest bardzo otwarta na takie inicjatywy i oferuje w swoim programie liczne programy.
- Co byś powiedziała ludziom zastanawiającym się nad wyborem ścieżki życiowej?
 - Najpierw obowiązkowo należy zajrzeć do programu studiów, jakie przedmioty liczą się najbardziej. Kiedy aplikowałam na uczelnię, nie byłam świadoma tego, że język obcy stanowi tam 50 procent punktacji. Znajomość języka obcego nie tylko ułatwia dostanie się na wybrany kierunek, ale otwiera też drogę do wymian zagranicznych, pozwala poznać studentów z całego świata, również tych przyjeżdżających do Polski. W mojej pracy komunikujemy się po angielsku. Jeśli za pierwszym razem nie trafiło się z wyborem studiów, powinno się go zmienić. Każde doświadczenie jest ważne, ale jeśli nie mamy w przyszłości zamiaru wykorzystać zdobytej wiedzy, lepiej obrać inną ścieżkę życiową. Na zmiany nigdy nie jest za późno...

Rozmawiała: KAROLINA MICHALSKA

Film produkcji USA w reżyserii Michaela Cristofera „Gia” mówi o uzależnieniu, samotności i śmierci. Ekranizacja jest przejmująca, a przede wszystkim prawdziwa

ŻYĆ SZYBKO, umrzeć młodo

34

Film Michaela Cristofera pt. *Gia* przybliży nam historię życia Gii Carangi (w tej roli Angelina Jolie), legendy świata mody, która zyskała popularność w latach 80.

Ekscentryczna siedemnastolatka mieszkała w Filadelfii i pracowała w barze u ojca. Rodzice rozstali się po kłótniach, zdradach i niedającej się ukryć przemocy. Pewnego dnia Gia poznała chłopaka, który namówił ją na wyjazd do Nowego Jorku. Tam przypadkiem trafiła do świata mody.

Młoda, atrakcyjna modelka prawie od razu skradła serca milionów ludzi dzięki nietypowej, przyciągającej wzrok urodzie. Była piękna, kontrowersyjna, pełna chaosu, wulgaryzmu i wewnętrznych sprzeczności. Obiektyw ją kochał, a ona kochała wszystko to, co zakazane i niebezpieczne.

Okładki w najbardziej prestiżowych magazynach i praca dla najlepszych projektantów nie dały jednak Gii szczęścia, którego tak usilnie szukała. Mimo sławy wiecznie brakowało jej pieniędzy, bohaterka popadała w nałogi w obliczu niezrozumienia i samotności.

Początkiem nieszczęścia okazał się związek uczuciowy z wizażystką Lindą (Elizabeth Mitchell), mimo że Gia wiedziała, iż jej wybranka spotyka się z mężczyzną. Załamana ową sytuacją, Gia zaczęła sięgać po narkotyki, by uciec przed odrzuceniem, samotnością i niespełnioną miłością.

W filmie świetnie pokazana została niestabilność emocjonalna Gii, jej wewnętrzne wołanie o miłość i wejście w najgorszy z nałogów. Próby uwolnienia się od uzależnienia okazały się daremne, gwiazda zmarła na AIDS w wieku zaledwie 26 lat jako jedna pierwszych sławnych osób pokonanych przez wirus HIV. Sceny końcowe niezwykle realistycznie i przejmująco ukazały walkę bohaterki z chorobą do końca.

Podczas oglądania filmu dowiadujemy się, że Gia jako 11-latką wychowywała się w rozbitej rodzinie. Jej znacznie odbiegające od normy zachowanie i poczucie odosobnienia wynikało niewątpliwie z trudnego i samotnego dzieciństwa. Dziewczyna od zawsze pragnęła być zauważoną

i kochaną, robiła to, na co w danej chwili miała ochotę, nie znosiła sprzeciwu, łaknęła wrażeń. Imprezy, narkotyki, przypadkowe znajomości – to był jej świat.

Filmu *Gia* mówi o uzależnieniu, samotności i śmierci. Ekranizacja jest przejmująca, a przede wszystkim prawdziwa. Pisząc scenariusz, Michael Cristofer zadbał o autentyczność. *Gia* to film niewątpliwie wart obejrzenia, przybliżający nam odległy świat mody, nałogów, choroby i nieszczęśliwej duszy. Skłania do spojrzenia w głąb siebie, uzmysławia, że pieniądze i błyski fleszy, często tak wymarzone, nie zastąpią akceptacji najbliższych oraz szczerzej, prawdziwej miłości.

ANNA BIELA

Tytuł: *Gia*
Produkcja: USA
Reżyseria: Michael Cristofer
Scenariusz: Michael Cristofer, Jay McInerney
Muzyka: Terence Blanchard
Gatunek: biograficzny / dramat
Premiera: 31 stycznia 1998 r. (świat)
Główni aktorzy: Angelina Jolie (w roli Gii Carangi), Elizabeth Mitchell (Linda), Eric Michael Cole (T.J.), Mercedes Ruehl (Kathleen)
Zdjęcia: Rodrigo Garcia
Czas trwania: 120 minut



Marcin Wicha, autor książki „Rzeczy, których nie wyrzuciłem”, zdecydował się na formę krótkich esejów i na takiej kanwie opart opowieść o zmarłej matce, a konkretnie jej rzeczach

Książka, której nie wyrzucę

Gdybym miała napisać książkę o bliskiej osobie, które zmarła, w ramach twórczych przymiarek nie umiałabym się oprzeć pokusie splagiatowania wydanych przez Karaktera esejów Marcina Wicha. Oczywiście nigdy bym tego nie udostępniła – byłby to wyłącznie test do przeprowadzenia na własny użytek.

Potem powstałoby coś zupełnie innego, mojego – ale musiałabym zacząć od wzoru, którym stała się dla mnie ta pozycja wśród współczesnych literackich rozważań nad śmiercią.

Podzieliłabym więc w myślach swoją książkę na podobne trzy części: kuchnię, słownik i śmiech w odpowiednich momentach. To kategorie świadczące o charakterze, który jest nie do skopiowania. Pod tymi hasłami mądrze bym ułożyła wspomnienia.

Marcin Wicha – grafik, ilustrator i pisarz – w swym zbiorze wydaje się robić dokładnie to: układa wspomnienia. Kreatywnie, konsekwentnie i błyskotliwie. Zdecydował się na formę krótkich esejów i na takiej kanwie opart opowieść o zmarłej matce, a konkretnie o jej rzeczach. Pozwoliło to przedstawić historię w oryginalnej perspektywie.

Pozostawione same sobie przedmioty (głównie książki) przypominają o żydowskim pochodzeniu kobiety, o mających wpływ na jej dorosłe życie doświadczeniach wojennych, a także o znanych już bezpośrednio autorowi przeżyciach z czasów PRL-u, w końcu – o niedawnej roli babci i wdowy w XXI wieku. W ten sposób powstaje nie tylko prywatny obraz najbliższej osoby, ale i socjologiczny portret całego powojennego pokolenia, oglądany z perspektywy dorosłego dziś dziecka.

Autor stara się zrozumieć matkę, ojca, dalszą rodzinę, przyjaciół i wszystkich pojawiających się w domowych opowieściach. Poruszane tematy, bez wątpienia trudne, były eksploatowane już wiele razy – można się obawiać powielania pewnych klisz. Forma i same przemyślenia są jednak zaskakująco świeże.

Wicha nie rozlicza i nie idealizuje. Jeśli krytykuje, to trafnie. Wchodzi po wieży z książek, wycinków gazet, powiedzonek i zwyczajów na rodzinne mielizny i porusza się po nich lekko, wytrwale i z udzielającą się czytelnikowi czułością. Unikając nudy, przeplata wątki, zmienia perspektywę i chronologię, opiera się na błyskotliwej, ironicznej obser-

wacji. Stale uważa, by nie wpaść w tani sentymentalizm, którego – jak zaznacza – nienawidziła matka.

W książce pozostaje ona nie tylko główną bohaterką, ale i najważniejszym odbiorcą tej opowieści. Wicha prowadzi monolog, wywód lub wyrzut, poruszając się w bezpiecznym schemacie dowcipnych anegdot. Beztroska stoi w sprzeczności z bólem, który przebija z każdego eseju (jak widać, nie sposób go uniknąć nawet we współczesnym trenie...).

Ta intymność w połączeniu z bezpośrednią formą może przytłaczać czytelnika. Autor na szczęście nie próbuje do niczego na siłę przekonywać. Tworzy kolaż cierpienia, ironii i żartu jak na dobrego artystę przystało. Relacja z prywatnego domu staje się jednocześnie relacją ze wszystkich domów jego pokolenia – czasem budzi to onieśmienie.

Trudno jednak posądzać autora o grę na emocjach. Trafniejsze będzie nazwanie go pisarzem osławiającym emocje w trakcie żmudnego układania osobistych wspomnień i przekształcania ich w uniwersalną opowieść.

Sztuka lekkiego podania trudnego tematu jest wyzwaniem, ale Wicha poradził sobie z nim bardzo dobrze. Światy rodziców i światy dzieci, mimo przepaści między pokoleniami, są połączone mocnymi więzami. Autor zaprasza czytelnika do ich wspólnej obserwacji, podtrzymywania i podsumowania.

– *Anegdota to punkt. Nasza historia składała się z rozrzuconych punktów, które nie sposób było połączyć liniami* – stwierdza w jednym z esejów.

Jestem pewna, że jednak udało mu się w jakiś sposób połączyć historie wszystkich, którzy sięgną po tę książkę.

ALEKSANDRA WIERZBIŃSKA

Marcin Wicha, *Rzeczy, których nie wyrzuciłem*
Wydawnictwo: Karakter
Gatunek: dzienniki, wspomnienia, listy
Data wydania: 5 maja 2017 r.
Liczba stron: 198
ISBN: 978-83-65271-99-0



Zanurzyć się w myślach

Inspiracja, wiara, nadzieja, śmierć i smutek – to wszystko w jednej książce. Jak owe nagromadzone emocje zmieścić w pojedynczym utworze, wie tylko Paulo Coelho, autor książki „Być jak płynąca rzeka. Myśli i impresje 1998-2005”

W życiu czasami trzeba się zatrzymać i poddać refleksji swoje postępowanie. Książka Paula Coelho *Być jak płynąca rzeka. Myśli i impresje 1998-2005* idealnie się do tego nadaje. Jednak gdy od człowieka odchodzi melancholijny nastrój, lektura staje się zbiorem krótkich tekstów pokazujących czytelnikowi filozofię życia autora. Sposobem na życie pisarza jest wiara w Boga i we własne możliwości.

Kiedy się czyta ów cykl esejów i felietonów, zdarzają się chwile, że trzeba na moment odłożyć książkę, zastanowić się i wejść w głąb swojej duszy. Autor snuje rozważania o śmierci jako o nieodłącznym elemencie istnienia:

– *Niech śmierć zawsze będzie z tobą. Kiedy będziesz musiał zrobić coś ważnego, ona da ci siłę i odwagę* – mówi.

Każdy w tym gąszczu opowiadań znajdzie sentencje wartą zapamiętania. Głównym tematem są wiara, nadzieja i walka z własnymi słabościami. Książka staje się małym, motywującym przewodnikiem po życiowych ścieżkach.

Nic w tym zaskakującego, ponieważ Paulo Coelho to jeden z najlepiej sprzedających się pisarzy dzisiejszych czasów. Mądrości życiowe, które wkłada w swe książki, trafiają do serc czytelników na całym świecie. Jego przekaz jest prosty i dosłowny, za co ludzie tak bardzo pokochali jego twórczość. Brazylijczyk prowadzący niegdyś hippisowskie życie stał się jednym najbardziej poczytnych autorów.

Coelho bardzo chętnie przekłada swoje życiowe doświadczenia na papier. W lekturze natrafiamy na emocjonujące opowiadania (np. o nauce strzelania z łuku). To interesujące dla kogoś, kto miał z tym rzemiosłem do czynienia. Siedzeniu na trawie w pochmurny dzień autor również przypisuje filozoficzne znaczenie. Czytelnik z wrażliwością literacką niewątpliwie poczuje się zniechęcony. Istnieje ryzyko, że po przeczytaniu kilku takich opowiadań zamknie książkę i schowa ją głęboko na półkę. I nigdy do niej nie powróci.

Czasami jednak warto na to przymknąć oko i szybko przekartkować fragment, który nie przypadł nam do gustu. Magia zbioru polega na tym, że każde opowiadanie wzbudza inne emocje. Raz ma się ochotę zamknąć książkę przez tryskającą prostotę i banalność. Innym znowu razem

robi się to po to, by poddać refleksji i przemyśleniu.

„Między tym, co słuszne, i tym, co błędne, rozciąga się wielka przestrzeń. Tam się spotkamy” – to jeden z takich właśnie cytatów.

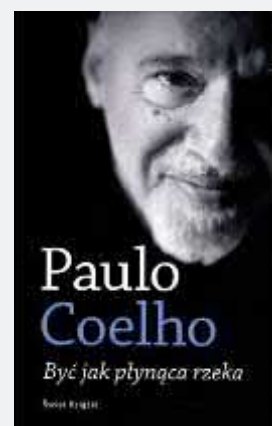
Największą wartością książki są wplątane w nią legendy i stare opowieści.

Kwestia wiary i Boga ubrana w opowiadania Paula Coelho to bardzo indywidualna sprawa. Teksty najlepiej odbierać jako osobistą drogę autora. Po przeczytaniu mogą się stać lekcją. Inspiracją do działania.

Być jak płynąca rzeka. Myśli i impresje 1998-2005 to pozycja jak rzeka: raz spokojna, raz wzburzona. Spokojna, oddająca w refleksję; wzburzona powodująca niechęć do kolejnego zanurzenia się w jej wodach. Z pewnością oczaruje czytelnika, który dopiero zaczyna przygodę z literaturą. Dla konesera będzie jak motywująco-refleksyjny poradnik.

AGNIESZKA ZEMLAK

Paulo Coelho, *Być jak płynąca rzeka. Myśli i impresje 1998-2005* (oryg. *Ser como el río que fluye. Relatos 1998-2005*)
Wydawnictwo: Świat Książki
Tłumaczenie: Zofia Stanisławska-Kocińska
Gatunek: fikcja
Rok wydania: 2013
Liczba stron: 286
ISBN: 9788379434145



YES, She Can!

Teza o niezwykłości i dwoistości życia Michelle Obamy zostaje ukazana za pomocą dwóch początkowych scen – reszta to wodospad argumentów „za” zwieńczony przemową stanowiącą esencję pracy autorki

Każdemu, kto w ciągu ostatniego roku choć raz przechodził koło dworca kolejowego w Krakowie, a po drodze minął kilka kiosków, z pewnością rzuciła się w oczy podobna czarnej kobiety na tle w kolorze indygo o roześmianym spojrzeniu. Ową kobietą na okładce książki wyeksponowanej w przeszklonej gablocie była Michelle Obama, kobieta, która przeniosła góry, by historię swego życia zappełnić pustą przestrzeń w każdym zagubionym kobiecym sercu.

Książka *Becoming. Moja historia* doczekała się również pełnometrażowej reklamy w postaci dokumentu w reżyserii Nadii Hallgren produkcji Netfliksa.

Już pierwsza scena musi obalić mity i wyobrażenia o autorce książki oraz wzbudzić do niej sympatię. Absolwentka prawa na prestiżowej uczelni, dodatkowo świetna pianistka i – jak się okazało – pisarka zadowala się młodzieżowym, hiphopowym utworem i podczas jazdy samochodem podryguje w rytm muzyki. Od tego momentu wiemy, że mamy się Michelle Obamy nie wystraszyć, możemy się swobodnie rozsiąść na kanapie i oglądać film o bohaterce przystępnej, kobiecie jak każda inna.

Długo jednak nie trwa owa sielska iluzja swojskości. Płacz, duszności, zachwyty, okrzyki, silne emocje – to wszystko dzieje się z nami na widok Michelle. Niemal od samego początku aż do ostatnich minut filmu bombardowani jesteśmy obrazami reakcji fanów na spotkanie z bohaterką – bohaterką książki własnego autorstwa, dokumentu oraz prawdziwą kobietą-herosem Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Nietuzinkowości bohaterki bezdyskusyjnie dowodzą scena wręczenia jej kwiatów na scenie przez wielkiego Baracka Obamę, filmowa rejestracja spotkań z czytelnikami,

których twarze sugerują raczej bliską obecność obiektu kultu religijnego niż autorki lubianej powieści, a także kontrowersyjne opinie na jej temat w mediach.

Pozwalam sobie więc określić dokument *Becoming. Moja historia* jako filmową rozprawkę, za którą Nadia Hallgren dostałaby w szkole piątkę z plusem. Teza o niezwykłości i dwoistości życia Michelle Obamy zostaje ukazana za pomocą dwóch początkowych scen – reszta to wodospad argumentów „za” zwieńczony przemową stanowiącą esencję pracy autorki.

Michelle gładko reprezentuje model „od zera do bohatera”. Materiał jest rzetelny, uwzględnia głos czytelnicy, oddaje mikrofon prowadzącym wywiady, mediom, rodzinie, „podgląda” Pierwszą Damę na kanapie, przy stole, w garderobie, podczas pracy.

Twórcy sprawnie posługują się technikami filmowymi, stosują nawet wyrafinowaną wersję „śmiechu z puszek” – działania publiczności podczas wywiadów na żywo (stanowiących oś narracji) podpowiadają nam, jakiej reakcji oczekuje się i od nas, dlaczego powinniśmy kupić książkę.

– Ponieważ odniosła ogromny sukces! – odpowiadam.

Skąd takie powodzenie?

Michelle Obama jest fenomenem współczesności, ludzie kochają ją i jej historię.

Słowo „dokument” obarczony jest pewnym ładunkiem emocjonalnym. Kojarzy nam się z „prawdą”, „faktem”, „dokumentacją”, czyli rejestracją wydarzeń autentycznych, ogołoconych ze złudzenia nieskazitelności. Szperanie, rozdrapywanie starych ran, kopanie w głąb sedna sprawy, wyciąganie brudów na powierzchnię – to inherentne cechy tego gatunku. Nie powinny się one stawać propagandą ►

- ideologii politycznej oraz postawy jednostki, nawet jeśli ma ona na celu szerzenie idei równości, feminizmu i innych myśli popychających społeczeństwo ku nowoczesności.

Twórcy nie wzięli pod lupę autentyczności Michelle, nie podali surowych faktów i nie pozwolili widzowi na osobistą refleksję. Jeśli oglądający zechce się nie zgodzić z byłą Pierwszą Damą, musi wyrazić sprzeciw wobec całego filmu.

A film mówi: nie, krzyczy: Michelle Obama jest silna.

O tej sile opowiada ona sama, opowiada to jej sześćdziesięcioletnia sylwetka tańcząca ze współpracownikami, jej gruby głos, setne, jeśli nie tysięczne wystąpienie przed publiką, niespływający z twarzy mocny makijaż, niezdradzający zirygowania ciągłym prostowaniem włosów.

Opowiadają to świadkowie, którzy widzieli, słyszeli, czytali. Za czasów kadencji Baracka Obamy Amerykanie nawoływali: „Yes, We Can!”. Dzisiaj twórcy dokumentu

Becoming. Moja historia nie pozwalają nam z tym polemizować i nakazują z gestem uznania wyznaczyć: „Yes, She Can!”, obniżając tym samym poziom produkcji i nie spłacając kredytu zaufania, jaki powierzył im widz, klikając w okienko z napisem Netflix z filmem opisanym jako „dokument”.

KLAUDIA MAKLES

Film *Becoming. Moja historia*

Tytuł oryginalny: *Becoming*

Reżyseria: Nadia Hallgren

Produkcja: USA

Gatunek: film dokumentalny

Premiera: 6 maja 2020 r. (świat)

Produkcja i odtwarzanie: Netflix



Film „Futro z misia” w reżyserii Michała Milowicza i Kacpra Anuszewskiego to komedia, o której trzeba jak najszybciej zapomnieć...

Chtopaki powinny się rozptakać

17 grudnia ub.r. w kinach premierę miał film *Futro z misia* w reżyserii Michała Milowicza i Kacpra Anuszewskiego. Zwiastun i huczna promocja wskazywały na kontynuację kultowego filmu *Chtopaki nie płaczą* w reżyserii Olafa Lubaszenki, a to, co ukazało się w kinach – oprócz aktorów – nie miało z nim kompletnie nic wspólnego.

Fabula filmu koncentruje się przede wszystkim wokół wątku wielkiej akcji, którą zorganizował gangster z podhalańskiej mafii o pseudonimie „Nerwowy” (Olaf Lubaszenko). Jego ludzie mieli ukraść z komisariatu zarekwirowanych 120 kg marihuany, jednakże zamiast narkotyku zabrali 120 kg herbaty ziołowej.

Gangsterzy z gór są wściekli, bo ktoś ubiegł ich w realizacji niecnego planu, a w dodatku dziwnym zbiegiem okoliczności wspaniałej jakości towar pojawia się na Pomorzu. Ruszają więc na drugi koniec Polski, a po drodze spotykają różnego rodzaju przeciwności losu, które muszą pokonać. Dodatkowo działają pod presją obserwacji agentów policyjnych: Dzika (Cezary Pazura) i Żubra (Artur Dziurman), więc muszą być ostrożni.

Slapstickowe żarty, stereotypizacja, przewidywalność i powtarzane schematy – określenia te najlepiej opisują *Futro z misia*. Tematyka gangsterów, policji, przekrętów czy seksu nie jest obca polskim twórcom filmowym i radzą sobie z nią z różnym skutkiem.

Milowicza i Anuszewskiego zdecydowanie przerosło stworzenie tejże komedii pomimo współpracy z wieloma uznanymi aktorami. Trudno by było wskazać na pozytywne cechy tego filmu, bo nawet w kwestii czysto rozrywkowej nie staje on na wysokości zadania, chyba że odbiorca ma zerowe oczekiwania i nieszczerze wymagające poczucie humoru.

To, co razi najmocniej, to ewidentna kpina z odbiorcy. Komedia z założenia ma się opierać na humorze, a twórcy filmu serwują nam dialogi, w których żart leży w przeinaczeniu słów, oklapanych frazesach typu „z rodziną najlepiej wychodzi się na zdjęciach z fotoradaru” czy sugerowaniu, że, postacie są tak głupie, iż myślą, że „tym bardziej” to imię.

Kwintesencją złego humoru okazało się wprowadzenie kartka jako aspektu komediowego czy uznanie, że wchodzenie po schodach na górę i schodzenie na dół jest śmieszne do tego stopnia, że musimy to oglądać przez kilka minut.

O ile Dziurman gra tak, jak byśmy oczekiwali, że zagra (to posępny, tajemniczy „typ”), o tyle Pazura dodaje do swojej postaci dziwny manieryzm, który raczej utrudnia percepcji, niż do niej zachęca. Lubaszenko zdecydowanie lepiej sprawdza się w roli reżysera niż scenarzysty, co wiemy z doświadczenia. Jednak na tle kolegów z planu naprawdę trudno wypaść źle, więc o jego roli można powiedzieć, że również była przeciętna.

Prawdziwym ewenementem okazał się jednak Milowicz w roli reżysera, aktora, twórcy muzyki, scenarzysty oraz producenta (istny człowiek orkiestra!). Z przykrością jednak należy stwierdzić, że zawiódł w każdej z ról.

Kiedy dowiedziałam się, że Milowicz przygotowuje nowy film, nie miałam zbyt wielu oczekiwań, pamiętając o wcześniejszej karierze twórcy. Teraz było jeszcze gorzej, niż myślałam, że będzie. Z filmu nie płynie zupełnie żadna wartość: ani rozrywkowa, ani humorystyczna, a już na pewno nie merytoryczna. Kiepskie dowcipy, oklepane schematy i przeciętna gra aktorska zdecydowanie przekreślają ten film. A szkoda, bo miło by było zobaczyć prawdziwy sequel filmu *Chtopaki nie płaczą*.

IZABELA SZERSZEŃ

Film *Futro z misia*

Reżyseria: Michał Milowicz, Kacper Anuszewski
Scenariusz: Michał Milowicz, Kacper Anuszewski,
Olaf Lubaszenko, Paweł Bilski

Gatunek: komedia

Muzyka: Waldemar Dąb

Premiera: 25 grudnia 2019 r.

W rolach głównych: Olaf Lubaszenko,
Michał Milowicz, Cezary Pazura, Artur Dziurman,
Sławomir Zapala, Mirosław Zbrojewicz i inni



Książka Hideo Azumy „Dziennik z zaginięcia” pokazuje, że w Japonii żyją dziwnie zachowujący się osobnicy. Jak pewien mangaka, który opisał swą historię...

Mieć rodzinę, pracę i rzucić to

40

Dziennik z zaginięcia to komiks narysowany przez Hideo Azumę, który opowiada swoją biografię. Wydany w 2005 roku przez wydawnictwo Hanami, podzielony na trzy części „Spacerując nocą”, „Spacerując po mieście” i „Odwyk alkoholowy”, opisuje etapy życia, w których autor miał problemy z alkoholem i stał się bezdomny.

Pewnego dnia zmagający się z alkoholizmem japoński artysta postanawia wyjść z domu i żyć na ulicy. Historia rozpoczyna się w chwili, gdy mężczyzna, mocno przepracowany, cierpi na brak pomysłów, by tworzyć nowe komiksy.

W tej części możemy zobaczyć, jak wygląda życie bezdomnego w Japonii. Autor opowiada, skąd wziąć alkohol, papierosy i jedzenie oraz jak przetrwać na ulicach miasta. Ostatecznie jednak daje się złapać policji, która odkrywa, kim jest. Jak się okazuje, to poszukiwany mężczyzna, którego żona zgłosiła zaginięcie.

Jakiś czas później nasz bohater postanawia ponownie uciec. Tym razem trwa to dłużej, doświadczony wcześniej wyprawą, radzi sobie o wiele lepiej. Mężczyźni nawet udaje się znaleźć pracę w gazowni. Po licznych szkoleniach jednak z niej rezygnuje. W dzienniku pojawia się wtedy fragment, w którym opowiada o swoim życiu sprzed pierwszej ucieczki.

Możemy się cofnąć w czasie i zobaczyć, co doprowadziło artystę do tego momentu. Rozdział kończy się tekstem: *Nim się zorientowałem, rzuciłem pracę, nabawiłem się depresji i uciekłem; wróciłem do domu, uciekłem i pracowałem w gazowni, zostałem alkoholikiem*, który podsumowuje jego dotychczasową ścieżkę.

W ostatniej części komiksu autor opisuje swój najtrudniejszy okres choroby alkoholowej. Trzęsące się ręce, nudności, bóle głowy, bezsenność czy halucynacje to tylko kilka

objawów, z którymi zmagał się Azuma. Wreszcie, po pobiciu na ulicy, postanawia zadzwonić do żony, która wraz z synem zawozi go na odwyk alkoholowy.

Początkowo przywiązany do łóżka, nie jest w stanie normalnie funkcjonować. Z dnia na dzień czuje się jednak lepiej i poznaje ludzi, którzy także zmagają się z tym samym problemem.

Książka zawiera również ostatni rozdział niebędący komiksem. Dwa wywiady z mangaką przeprowadzili Tori Miki i Kiuchi Maya. Rozmowy pozwalają dowiedzieć się więcej na temat życia autora oraz tworzenia tego komiksu. To istotny dodatek w książce, pomocny w stworzeniu głębszej analizy artysty.

Jak możemy się dowiedzieć z prologu: *Ten komiks przedstawia pozytywne nastawienie do życia, przy jednoczesnym maksymalnym braku graficznego realizmu*. Azuma tworzył mangę, a realistyczne rysunki były według niego mroczne i dołujące. Te czarno-białe obrazki w humorystyczny sposób opowiadają poważne sytuacje. Wplecione zabawne gagi ukazują podejście artysty do życia.

Graficznie jest to ładna opowieść dla dorosłych, pozwalająca zastanowić się nad życiem oraz docenić to, co się ma. Można zobaczyć, jak trudne jest życie na ulicy i z czym muszą się zmagać na co dzień bezdomni. Jak wyniszczający jest alkoholizm, jak trudno poradzić sobie z tą chorobą.

Cała ta historia raczej mnie nie zachwycała. Niezrozumiałe pozostaje dla mnie to, jak mężczyzna mający żonę i dzieci może je zostawić i nie przejmować się ich życiem. Autor skupia się wyłącznie na swoich problemach, jednak nie wspomina o rodzinie, dzięki której udało mu się może uniknąć śmierci na ulicy.

Jak opowiada później w wywiadzie, po drugiej ucieczce, gdy wrócił do domu, dzieci go nie poznały. To pokazuje, jak bardzo odciął się od rodziny i egoistycznie podchodził do świata. Zdawało się go nie obchodzić, że w czasie gdy go nie ma, żona musi sobie radzić sama.

Dziwne dla mnie jest także jego podejście do bezdomności. W książce przedstawił swoje ucieczki jako wybawienie od straszego życia artysty. Wielu bezdomnych marzy o tym, by mieć to, co on miał. On jednak postanowił nie mieć nic i żyć beztrosko, bez żadnych zobowiązań.

Według mnie to bardzo nieodpowiedzialne podejście. Dorosły człowiek powinien umieć rozwiązywać problemy, a nie od nich uciekać. Bohater nie szuka żadnej pomocy, po prostu wychodzi z domu. Nie udaje mu się jednak uciec od choroby alkoholowej, która także przyczyniła się do depresji i próby samobójstwa. Kryje się przed innymi ludźmi, zatracając się dalej w swoich zaburzeniach.

Autor komiksu z problemami radzi sobie śmiechem. Zamiast poważnego komiksu powstaje humorystyczna opowiadka o próbie samobójstwa, depresji, alkoholizmie i życiu na ulicy. To jego forma na radzenie sobie z problemami.

Opowiadanie jednak o tym innym w ten sposób umniejsza – według mnie – skalę problemu. Stawia to na równi gagi z podkładaniem kupionych jajek w parku z nieudaną próbą samobójczą. Nie jest to w mojej opinii właściwe. Choroby, na które cierpiał Hideo Azuma, powinny być traktowane poważnie. Przez minimalizowanie skali problemu ludzie, którzy nie musieli się z tymi przypadłościami zmagać, nie uznają tego za coś poważnego.

Książka Hideo Azumy *Dziennik z zaginięcia* dobitnie pokazuje, że w Japonii żyją dziwnie zachowujący się osobnicy. Jak pewien mangaka¹, który opisał swą historię...

MARIKA DOMAGAŁA

Hideo Azuma, *Dziennik z zaginięcia*
 Tytuł oryginału: *Shisso nikki*
 Tłumaczenie: Radosław Bolałek
 Gatunek: komiks
 Wydawca: Hanami
 Data wydania: 30 kwietnia 2009 r.
 II wydanie: 2012 r.
 Liczba stron: 206
 ISBN: 978-83-60740-23-1



¹ mangaka (od *manga* 'japoński komiks') 'rysownik mangi, autor japońskich komiksów'

Oczy „PSÓW 3” wciąż zachwycają

Ćwierć wieku – tyle czasu leżał beczynnie plik kartek ze scenariuszem w szufladzie Władysława Pasikowskiego, zamykający trylogię jego kultowego dzieła

W imię czego pojawiła się ta spontaniczna decyzja? Być może... w imię zasad. Ale też w imię moich zasad w dobrym tego słowa znaczeniu. Tych kilka-kilkanaście zdań recenzji będzie świadomym pójściem pod prąd krytycznych uwag i opinii zarówno miłośników kina, jak i krytyków.

Po 25 latach, wraz z Franciszkiem Maurerem „Franzem”, pojawiły się w kinach *Psy 3. W imię zasad*. Wszyscy miłośnicy kina Pasikowskiego mocno się tego wydarzenia obawiali, a jednocześnie nie mogli się doczekać dnia premiery.

Okazało się, że powstał film zupełnie sympatyczny, utrzymany w bardzo sentymentalnym klimacie *Psów 1* i *Psów 2*, w dodatku na podstawie „scenariusza, który przez lata im mocniej był oczekiwany, tym głębiej chowano go do szuflady”.

Powszechnie spodziewano się jeszcze bardziej zaskakującej fabuły, jeszcze bezwzględniejszego Bogusława Lindy i jeszcze trafniejszych, nonszalanckich jego ripost. Pasikowski pokazał, że starzejące się z klasą legendy mogą być ciągle wielkim atutem jego filmów, chętnie odbieranymi przez widzów również tych młodych.

Film rozpoczyna się w bliźniaczy sposób do drugiej części *Psów*. „Franz” Maurer wychodzi z więzienia po 25 latach odsiadki. Świat zdążył się diametralnie zmienić, niezmienna pozostała jedynie przeszłość „Franza”, która po niego wróciła. Przytłumiony nową rzeczywistością, odnajduje towarzyszy z przeszłości: „Panicza” (Jan Frycz) oraz Waldemara Morawca „Nowego” (Cezary Pazura), prezesa ogrodów działkowych, któremu pomaga odnaleźć zaginionego syna.

Równolegle przedstawiciel młodego pokolenia policji – „Wit” (Marcin Dorociński), jedyny uczciwy policjant w Warszawie, prowadzi dochodzenie przeciwko szerzącej się wewnątrz policyjnej patologii. Obydwa wątki przeplatają się ze sobą i na końcu łączą, jednak bez wyraźnego ich wyjaśnienia.

Symboliczne przesunięcie w czasie ma miejsce już na początku filmu, kiedy „Franz” reaguje skrytym grymasem na widok na ulicach Warszawy obcokrajowców. Klimat dawnych *Psów* widać za to w zetknięciu się głównych bohaterów („Franza” z Morawcem „Nowym”), gdy po raz pierwszy wybrzmiewa legendarne: „W imię zasad”, wzmocnione akompaniamentem trąbki Michała Lorenza.

Legendarna postać Bogusława Lindy nie traci ciętej riposty oraz specyficznego humoru, stawiając jednocześnie stalowe granice dla własnych zasad. Gra pauzą w wyraźny sposób uwypukla charakter dialogów „Franza”, dodając im niepowtarzalności.

Jego filmowy kompan z przeszłości nad wyraz trafnie dopasował się do emerytowanej postaci, którą stał się po

ćwierćwieczu. Szczególnie dotknęła mnie w tym momencie autentyczność i wylewność skrajnych emocji.

W imię zasad to także połączenie dwóch różnych, dobrze skomponowanych ze sobą pokoleń. Pierwszoplanowa rola Marcina Dorocińskiego (Komisarza Witkowskiego „Wita”) zasługiwała na uwagę, choć mnie akurat nie przekonała. Brakowało w niej, charakterystycznej dla *Psów*, fizycznej beczelności. Bardziej bym widział na jego miejsce uczciwego policjanta o żelaznych ramach zasad Sebastiana Fabijańskiego, aktora wciąż młodego, który w filmie Patryka Vegi *Pitbull. Niebezpieczne kobiety* w roli „Cukra” udowodnił, że potrafi to zagrać. Wcielił się w postać Damiana, informatyka, i wykonał zadanie (styl bycia charakterystyczny dla informatyków, przerywany sposób narracji, zająknięcia).

W *Psach 3* pojawił się problem zamykania przez policję pod dywan spraw istotnych. Tym razem nie było, rzecz jasna, siermiężnej milicyjnej rzeczywistości i współpracy komendantów z ubekami.

Ale współczesna policja ma wiele innych problemów i spraw za uszami (np. że nie jest apolityczna). Szkoda, że ów wątek w trzeciej części trylogii nie wybrzmiał tak jak powinien był (jak to było wcześniej).

Niepowtarzalny klimat, specyficzny humor, ciekawy scenariusz i gra aktorów – to niewątpliwie atuty *Psów 3. W imię zasad* i sukces samego Władysława Pasikowskiego. Powstał film, który odwołując się do poprzednich dwóch części, zaskoczył jednak widzów odmiennością i oryginalnością.

Piękno człowieka przemija, włosy siwieją. Jedyną rzeczą, która się nie zmienia albo zmienia niepostrzeżenie, są oczy. Oczy *Psów* wciąż zachwycają, mimo że inne są czasy i okoliczności. Bogusław Linda to gość ciągle z klasą, trafnie puentujący rzeczywistość. Pomaga mu w tym bardzo ścieżka dźwiękowa Michała Lorenza.

MACIEJ WITWICKI

Film *Psy 3. W imię zasad*
Reżyseria: Władysław Pasikowski
Scenariusz: Władysław Pasikowski
Produkcja: Polska
Muzyka: Michał Lorenc
Zdjęcia: Maciej Lisiecki
Data premiery: 20 stycznia 2020 r.
Dystrybucja: ITI Neovision S.A.
Czas trwania filmu: 120 minut
Obsada: Bogusław Linda, Cezary Pazura, Jan Frycz, Marcin Dorociński, Sebastian Fabijański, Artur Żmijewski, Edward Linde-Lubaszewski, Mirosław Baka, Arkadiusz Jakubik, Arkadiusz Bazak, Dominika Walo i inni



Slasher „W lesie dziś nie zaśnie nikt” w reżyserii Bartosza M. Kowalskiego miał być pokazywany w kinach, ale ze względu na epidemię koronawirusa trafił na platformę Netflix

GROZA i..

śmiech

Pierwszy polski slasher¹ w reżyserii Bartosza M. Kowalskiego *W lesie dziś nie zaśnie nikt* miał trafić do kin 13 marca br. Potem jego premiera została przesunięta, by ostatecznie – z powodu szalejącej epidemii koronawirusa – trafić na platformę Netflix.

Twórca zawsze podkreślał, że kocha horrory, a nakręcenie slashera będzie wyzwaniem, gdyż w Polsce nikt tego nie robi. Polska kinematografia słynie raczej z kręcenia słodkich, cukierkowych, przewidywalnych i kończących się happy endem komedii romantycznych.

Z tego względu premiera horroru budziła ogromne zainteresowanie widzów.

W lesie dziś nie zaśnie nikt to prawie że kopia amerykańskich filmów w polskiej wersji. Mamy tu głupią blondynkę, okularnika z nadwagą, aroganckiego sportowca i trzymającą się na uboczu dziewczynę, która niczym superbohaterka próbuje ratować świat. Dopelnieniem całości pozostaje las, który staje się krwawym polem walki, i dwaj bracia przeobrażający się w przyszczone monstra pod wpływem wydzielin z meteorytu.

Kicz w polskim wydaniu, wypełniony absurdami...

Akcja filmu rozpoczyna się wydarzeniami z przeszłości. Listonosz dociera do domku położonego w środku lasu. Zaintrygowany odgłosami dochodzącymi z piwnicy, postanawia sprawdzić ich źródło. Jak łatwo się domyślić, spotyka go nieszczęście.

30 lat później do lasu dociera grupa młodych uczestników obozu mających być odseparowanymi od dostępu do internetu i wszelkich platform komunikacyjnych. Mimo

kilku konfliktów młodzi ludzie znajdują wspólny język, zacieśniają się ich relacje.

Sielanka nie trwa jednak długo. Na życie bohaterów czają psychopatyczni mordercy (nocą jeden z uczestników obozu znika). Pozbawieni kontaktu ze światem zewnętrznym, są zdani wyłącznie na siebie.

Film pozostawia wiele do życzenia, jeśli chodzi o temat i sposób realizacji. Mimo trzymania się cech gatunku i bycia przewidywalnym nie budzi strachu, ale wręcz przeciwnie...

Wydarzenia z przeszłości są jedynie dobrze ukazany obrazem, zapowiadającym atrakcje i sprawiającym, że będzie to trzymający w napięciu horror.

Niestety, później pojawia się rozczarowanie. Mamy łątwy do przewidzenia obraz wydarzeń i kopię slashera wprost zza oceanu (staje się jasne, że prawie wszyscy bohaterowie poniosą śmierć, odcięci od technologii, pośród lasu z czającym się złem).

Najbarwniejszą postacią jest Julek, chłopak z lekką nadwagą, przedstawiony niczym nieogarnięty, przestraszony nerd, który miał jechać na mistrzostwa w turnieju e-sportowym do Korei, a zamiast tego wyłdował na obozie offline. To on będzie miał największe szanse na przeżycie.

Michał Lupa oddał się roli Julka niezwykle wiarygodnie. To zdecydowanie najlepiej przedstawiona postać z całego filmu. Julia Wieniawa-Narkiewicz w roli Zosi pokazała się aktorsko od gorszej strony, choć odtwarzała główną rolę, a więc często występowała na pierwszym planie. Niepotrzebnym elementem filmu okazały się retrospekcje z życia Zosi. W momentach kiedy pokazywano jej przeszłość, należało raczej rozbudować akcję toczącą się w teraźniejszości.

¹ *slasher* (ang.) 'gatunek horroru w którym liczba bohaterów szybko się zmniejsza'



- Na uwagę zasługuje rola Piotra Cyrwusa (znanego Ryśka z serialu *Klan*) jako księdza. W filmie *W lesie dziś nie zaśnie nikt* mocno odbiega on od serialowej postaci, jest grzeczny, ułożony, rodzinny. Nagle jednak staje się demonicznym, zdemoralizowanym, złym księdzem, który w końcu ponosi zasłużoną karę.

Wojciech Meczaldowski jako kierownik obozu i Olaf Lubaszenko w roli niespełnionego policjanta uzupełniają aktorsko całość filmu. Choć wcielili się w postacie podrzędne, to jednak nadali całej produkcji wartości, czego nie można powiedzieć o aktorach odgrywających role młodych uczestników obozu.

Nie oszukujmy się, slasher nie jest gatunkiem wymagającym gry aktorskiej na najwyższym poziomie. Efektów specjalnych w filmie było multum, ale zdarzały się niedociągnięcia, zabrakło scen realistycznych. Sceny z fantomami okazały się mało przekonujące, a trupy obecne w filmie właściwie na każdym kroku na nikim nie robiły wrażenia.

Bohaterowie ginęli w sposób kiczowaty i żałosny, a scena z odciętą gumową głową przyprawiała raczej o śmiech niż strach. Podobnie jak zajście nad jeziorem, kiedy morderca, sapiąc, zbliżył się do dwójki bohaterów siedzących nad wodą, przebił kijem twarz uczestniczki obozu, a siedzący obok chłopak nie dostrzegł zajścia, kontynuując rozmowę, jak gdyby nic się nie stało.

Jedynie wielkie, pryszczate monstra wypadły przekonująco. Nie dało się zauważyć sztuczności, osiągnięto zamierzony cel.

Jedną z większych wpadek filmu okazała się moim zdaniem scena, kiedy bohaterka próbuje odblokować telefon odciętą dłonią, aby zadzwonić po pomoc. Jak wiadomo, na numery alarmowe telefonuje się bez konieczności wykonywania owej czynności. Być może miało to dodać scenie dramatyzmu, a może uznano, że nikt się nie zorientuje...

Pochwalić za to należy muzykę autorstwa Radzimira Dębskiego, idealnie dopasowaną do każdej sceny i odpowiednio ilustrującą nastrój filmu.

W lesie dziś nie zaśnie nikt to film ze średniej półki. Jak na gatunek przystało, zrealizowano go według tradycyjnego przepisu na slasher. Tylko że zawiera on w sobie mało elementów strachu, napięcia czy lęku. Zmasakrowane ciała, ludzkie wnętrzności i lejąca się litrami krew wywoływały rzecz jasna u widzów obrzydzenie, ale też niekiedy śmiech.

Mordowanie uczestników obozu było w filmie wątkiem naczelnym. Reżyser sprytnie jednak pokazał, że potworami bywają nie tylko monstra czające się w lesie, ale każdy z nas. Czasami ludzie nie są świadomi tego, że mają głęboko skrytą drugą osobowość, która w każdej chwili może się uaktywnić. Świadczy o tym pokazane w filmie losy zagubionego w pracy policjanta, prostytutki, alkoholików świętujących urodziny Hitlera czy księdza wrogo nastawionego do mniejszości seksualnych.

Uważam, że mimo wszystkich niedociągnięć i wpadek film *W lesie dziś nie zaśnie nikt* Bartosza M. Kowalskiego jest wart obejrzenia głównie ze względu na muzykę, ciekawie wykreowaną postać Julka i zupełnie inne niż dotychczas wcielenie Piotra Cyrwusa.

IWONA FILIPIAK

W lesie dziś nie zaśnie nikt

Reżyseria: Bartosz M. Kowalski

Muzyka: Radzimir Dębski

Produkcja: Polska, 2020 r.

Data premiery: 13 marca 2020 r.

Miejsce wyświetlania: platforma Netflix

Czas trwania filmu: 102 minuty

Obsada: Michał Lupa (w roli Julka), Julia Wieniawa-Narkiewicz (jako Zosia), Mirosław Zbrojewicz (jako listonosz), Wiktoria Gąsiewska (jako Anieli), Wojciech Meczaldowski (jako kierownik obozu), Olaf Lubaszenko (jako policjant), Piotr Cyrwus (jako ksiądz), Stanisław Cywka (jako Bartek), Sebastian Dela (jako Daniel)

Zagrożona młodzieńczość

Halo, rodzice, otwórzcie oczy. Czy mamy zdechnąć, żebyście nas zauważyli? – pyta Mykyta, bohater ukraińskiego serialu „Pierwsze jaskółki” nadawanego na jednym z kanałów telewizyjnych

Okrutne zachowanie i szykany ze strony kolegów z klasy; samotność i niebezpieczne gry on-line związane z samobójstwem; rodzice alkoholicy; homoseksualność – wszystko to znajdziemy w ukraińskim serialu „Pierwsze jaskółki” wyświetlanym od listopada ub. roku na Ukrainie.

To socjalny eksperyment, okrutny, ale uczciwie zrealizowany serial o nastolatkach, o bullyingu¹ w szkole, narkotykach, prowokacjach i seksie.

Uczniowie i uczennice jednej ze szkół są pozoru normalną grupą, nieróżniącą się zbyt od innych. Ale miewają niekiedy myśli samobójcze, gdy zastawiają na nich parol rówieśniczki czy rówieśnicy w szkole. Rodzicom nie chcą się z tego za bardzo zwierzać w obawie, że i tak ich nie zrozumieją, a może nawet ukarzą.

Jedynym wyjściem dla zranionych dziewcząt i chłopców pozostaje zwrócenie się o pomoc do organizacji „La Strada – Ukraine” (po każdym odcinku na ekranie pojawia się numer telefonu gorącej linii).

– Halo, rodzice, otwórzcie oczy. Czy mamy zdechnąć, żebyście nas zauważyli? – pyta w pewnym momencie Mykyta, jeden z bohaterów „Pierwszych jaskółek”.

We współczesnym świecie młodzież stała się jeszcze bardziej okrutna, na co olbrzymi wpływ ma niestety internet. To, co zobaczy się w sieci, jest potem przenoszone do świata realnego. Młodzi ludzie wręcz naśladują zachowania rówieśników z całego świata i testują to i owo na własnym gruncie: na podwórku, w szkole.

Do tego dochodzi panoszące się coraz bardziej zjawisko homoseksualizmu w środowiskach szkolnych i fascynacja ideologią gender i LGBT.

Serial „Pierwsze jaskółki” został po mistrzowsku zrealizowany, jego tematyka jest naprawdę wciągająca i trzymająca w napięciu do końca. Wielu rodziców po obejrzeniu

kolejnego odcinka serialu zastawia się, czy i ono nie straciło przypadkiem kontaktu z synem czy córką, nie interesując się na co dzień ich problemami. A sprawy są poważne, prowadzące nieraz do tragedii.

Dlatego po każdej emisji „Pierwszych jaskółek” wstrząśnięci rodzice zaczynają bardziej niż kiedyś rozmawiać z dziećmi, przyglądać się ich zachowaniu w domu i szkole i przekonywać, że w razie czego mogą na nich liczyć.

Film unaocznia również patologie w rodzinach, głównie pijaństwo, zdradę małżonków i bicie dzieci. To – obok bullyingu w szkołach – największe obecnie zagrożenie normalnego życia na Ukrainie.

Twórcom „Pierwszych jaskółek” przyświecało zwrócenie uwagi opinii publicznej na tę sytuację, dlatego weszli w kontakt ze społeczną organizacją „La Strada-Ukraine” i zachęcają wszystkich, by w razie czego dzwonili na „gorącą linię”.

ANNA SEIMIVSKA



Pierwsze jaskółki (ukr. *Перші ластівки* *Pershi Lastivky*)
Ośmioodcinkowy serial
telewizyjny produkcji ukraińskiej
Reżyseria: Valentyn Shpakov
Data wyświetlania:
19 listopada 2019 r.
Występują: Nina Naboka,
Victoria Litvinenko, Olesya
Zhurakovskaya, Daria
Tregubova, Konstantin
Oktyabrsky, Maxim Samchik,
Maria Smolyakova, Olexandr
Rudinsky

¹ *Bullying* (z ang.) 'tyranizowanie, napastowanie, zastraszanie'

Reportaże Beaty Kowalik „No pasa nada! Nic się nie dzieje” to wielobarwna opowieść o Meksyku pełnym sprzeczności i niesprawiedliwości

Wolę stracić życie, niż biernie patrzeć, jak niszczą mój dom



No pasa nada! Nic się nie dzieje to książkowy debiut dziennikarki i filolożki Beaty Kowalik, reporterki znanej z tekstów zamieszczanych m.in. w „Tygodniku Powszechnym”, od ponad dekady podróżującej po świecie. Kilka lat pobytu w Meksyku zaowocowało zbiorem reportaży wydanych na początku bieżącego roku nakładem wydawnictwa Mova.

W Meksyku na przestrzeni wieków ukształtował się tradycyjny model społeczeństwa, w którym dominują mężczyźni. Najświętsza Panienna z Guadalupe i rodzona matka to jedyne kobiety według prawdziwego macho zasługujące na szacunek. Przekonanie o konieczności całkowitego podporządkowania się mężczyźnie przekazuje się tu z pokolenia na pokolenie.

Beata Kowalik zrywa z meksykańską tradycją, oddając głos zarówno kobietom wiernym tradycji, jak i szalonym rewolucjonistkom.

„Asi es” (Tak już jest) powtarzają jak mantrę kolejne pokolenia Meksykanek: matki, córki i siostry godzące się na dotykającą je przemoc, biedę oraz brak pomocy ze strony państwa, Kościoła, a nawet lekarzy.

Viridiana, Gabriela i Rossi miały odwagę powiedzieć „pas” i postanowiły walczyć o lepsze życie dla siebie i przyszłych pokoleń.

Jedna z nich jest szefową organizacji zwalczającej przemoc wobec kobiet. Druga – lesbijką, feministką i aktorką alternatywnego teatru. Trzecia to meksykańska Erin Brockovich, która poświęciła życie walce z korporacją niszczącą jej rodzinne miasteczko oraz zagrażającą zdrowiu i życiu jego mieszkańców.

Niestraszne są im porwania, gwałty i przemoc. Codziennie narażają życie, bo jak mówi jedna z nich: „Nie chcemy więcej ofiar, ale wolę stracić życie, niż klęczeć i biernie patrzeć, jak niszczą mój dom”.

Reportaże Beaty Kowalik to wielobarwna opowieść o Meksyku pełnym sprzeczności i niesprawiedliwości.

Autorka nie unika tematów trudnych. Z bohaterkami rozmawia m.in. o problemie prostytucji i wykorzystywania nieletnich, mafii narkotykowej, degradacji środowiska naturalnego czy prześladowania osób odmiennej orientacji seksualnej.

Z drugiej strony jest to opowieść o bogactwie i różnorodności meksykańskiej kultury, w której wiara katolicka łączy się z szamańskimi rytuałami, a obcowanie z duchami nie stanowi niczego nadzwyczajnego.

No pasa nada! nie należy do lektur lekkich, pomagających się oderwać od nużącej codzienności. Zawiodą się również miłośnicy pełnej zachwytów podróżniczej narracji.

Reportaże Beaty Kowalik to relacja z codziennego, choć nierzadko przerażającego życia w Meksyku. Może to właśnie dramatyzm opisywanych wydarzeń sprawia, że lektura pochłania czytelnika niczym najlepszy kryminał.

W zdominowanej przez mężczyzn meksykańskiej kulturze szczególnie miejsce zajmuje Adelita, wojowniczką będącą bohaterką jednej z najbardziej popularnych w czasach meksykańskiej rewolucji ballady. Współcześnie tym mianem określa się każdą kobietę walczącą o własne prawa.

No pasa nada! nie jest smutną opowieścią o zastraszonych Meksykankach pogodzonych z własnym losem. W moim odczuciu opowiada przede wszystkim historię współczesnych Adelit – kobiet walczących ze stereotypami, skorumpowaną władzą i źle pojmowaną tradycją. Dziewczyn, które mają dość udawania, że „nic się nie dzieje”.

DOMINIKA WIŚNIEWSKA

B. Kowalik, *No pasa nada! Nic się nie dzieje*

Gatunek: literatura faktu

Wydawca: Mova

Wydanie I

Okladka: twarda

Data premiery: 29 stycznia 2020 r.

Liczba stron: 264

ISBN: 978-83-664-3665-7

Jeszcze w ubiegłym tygodniu, składając zamówienie, dostałabyś zamówione żarcie tego samego dnia. Teraz przyjmuje się zlecenie z czasem realizacji na dzień następny

Dzień, kiedy w domu skończyła się kawa



Patrzysz do lodówki – pusto, zaglądasz do zamrażalnika – jeszcze puściej. Tylko wódka i tacka z kostkami lodu. Szybki rzut oka po szafkach w kuchni – paczka makaronu, dwa woreczki ryżu, mleko, masło, parmezan i nutella. Na blacie cytryna, spleśniałe jabłko i dwie cebule, z których radośnie kielkuje sobie szczypiorek.

Odpalasz ekspres do kawy. Ten chwilę charczy, rzezi, słyszysz nawet, jak ceramiczne żarna młynka o siebie trą. Mimo woli przesuwasz językiem po zębach. Wreszcie hałas cichną, i maszyna wydaje z siebie świecący na czerwono komunikat: „Spierdalaj!”.

Piszesz do drugiej połówki, żeby wracając z pracy, zrobić zakupy i koniecznie kupić kawę. Ten odpisuje, żebyś podała listę. No to skrobiesz: kawa, dużooooo kawyyyy; mięso – kurczak (dwie tacki, mogą być filety albo udka), wieprzowina na gulasz (tacka); warzywa – cebula, ziemniaki, batat, pomidor, włoszczyzna (tacka), szpinak; nabiał – feta, bryndza, serek kremowy (ewentualnie Philadelphia), mleko, jaja; inne – kasza pęczak, woda.

Jest siedemnasta. Dwadzieścia minut później na telefonie pojawia ci się zdjęcie wysłane przez drugą połówkę przedstawiające półki bezwstydnie świecące pustką.

Mija kolejnych 20 minut, a połówki jak nie było, tak nie ma. Siadasz na sofie i jednym haustem wypijasz pół lampki

wina. Wreszcie w progu staje on, bez widocznych obrażeń ciała i uszkodzonych części garderoby, za to z reklamówką wypełnioną po brzegi.

Spoglądasz na niego, a on wzrusza ramionami i mówi, że brał, co było.

– A kawa?! – pytam.

Była tylko mielona, więc nie wziął. Kapitulujesz, dolewasz sobie wina i kontynuujesz oglądanie Netfliksa.

Następnego dnia postanawiasz upolować coś on-line. Spacerujesz sobie między wirtualnymi zakładkami strony, a twój koszyk powoli się zapełnia. Kilogram tego, ćwiartka tamtego, pięć sztuk owego i jeszcze litr tego zielonego. I gdy zadowolona z siebie zbliżasz się do momentu, w którym musisz podać numer karty płatniczej, w głowie słyszysz znajomy brzdęk: *Ting!*

Oto nagle uświadamiasz sobie, że w tym konkretnym przypadku po wszystkie zamówione produkty spożywcze będziesz się musiała pofatygować sama albo wysłać drugą połówkę. Owszem, wirtualny targ w ramach świadczonych usług skompletuje twoje zamówienie, przywiezie je do wskazanego miasta, ale już nie pod twoje, tylko pod drzwi młej sąsiadki z bloku naprzeciwko.

Wtedy ty, z założoną na twarz maseczką, będziesz musiała opuścić wasze bezpieczne em-ileś-tam i wyjść na zewnątrz. Następnie obejść blok, przejść przez jezdnię i dostać się na szóste piętro wieżowca, trzy razy dotykając różnych klamek i raz guzika w windzie.

Na miejscu ustawisz się w kolejce z zachowaniem obojętnej dwumetrowej odległości przed i za sobą, chociaż wolałabyś, żeby te odległości wynosiły minimum dwa piętra. Na koniec, w drodze powrotnej do domu, ponownie zmierzysz się z przyciskiem w windzie i klamkami. Dlatego przemielasz w głowie ilość i rodzaje infekcji, jakie przechodziliście w ostatnich trzech latach, i jasno wychodzi ci, że po zakupy pójdziesz jednak on. Nie ma co dyskutować z wynikiem 8:1.

- Od żarcia dzieli cię już tylko jedno kliknięcie guzika *Płać*, ale w głowie pojawia się kolejny głos. Tym razem do mikrofonu dorwał się pan Wielki Wyrzut Sumienia. Wtóruje mu pani Wyobraźnia, raz po raz podrzucając pod powieki złowrogie obrazy pełne karetek, kroplówek i respiratorów. A żeby was wszystkich... *i tylko k... i k...* Porzucasz więc wypakowany po brzegi koszyk i wychodzisz z wirtualnego targu.

Idziesz do dużej sieci. Tu panuje zasada, że najpierw rezerwujesz termin dostawy, a potem kupujesz. Zaglądasz do kalendarza, jest środa, najbliższy wolny termin za półtora tygodnia, ale tylko w godzinach od 16 do 19. Opuśczaś. Nie wiesz jeszcze, że kilka dni później nie będzie już żadnych wolnych terminów.

Logujesz się na niedawno odkrytą stronę, za pomocą której robi się zakupy aż w czterech marketach. Przypisany ci pan dostawca pojedzie do wybranego przez ciebie sklepu i kupi wszystko to, co mu napisałaś, żeby kupić. Na koniec uda się do kasy, zapłaci i kwadrans później zjawi się pod twoimi drzwiami w towarzystwie zakupów. Bajka.

Jeszcze w ubiegłym tygodniu, składając zamówienie, dostałabyś zamówione żarcie tego samego dnia. Teraz przyjmuje się zlecenie z czasem realizacji na dzień następny. Niezrażona tym faktem, ochoczo pakujesz wirtualny koszyk: kawa, mięso, warzywa, nabiał, sypkie, trochę procentów i coś słodkiego. Potem kasa, info dla dostawcy, żeby był eko i zapakował wszystko w papier, i gotowe.



Następnego dnia, o określonej w zamówieniu godzinie, zamiast ujrzeć dostawcę, odbierasz telefon. Inny gość informuje cię, że poprzedni dostawca się zwolnił i pięciu innych również, w związku z czym twoje zlecenie zostanie dostarczone najwcześniej w poniedziałek. Wchodzisz w to? A co innego ci pozostało?

Za jakiś czas znajomy pan od zakupów pisze do nas, że dostawa się opóźni o kilka godzin, ale na bank będzie jeszcze dziś! Rozradowana, gotujesz całą paczkę makaronu i robisz gęsty sos z parmezanu. Wreszcie można zaszaleć.

Schody zaczynają się pod koniec tygodnia.

Okoliczne sklepiki nadal zioną pustką. Duże sieci mają terminy pozajmowane. Ten stan utrzymuje się w kolejnych dniach i tygodniach. Zostają wirtualny targ i strona z czterema marketami. Skończyła się też dowolność w wyborze terminu, trzeba polować. Zaglądasz stronę przez następne dwa dni i w końcu pojawia się data – „na za tydzień w godzinach między 12 a 14”.

Nie bacząc na nic, ładujesz do koszyka jak leci: kawa, mięso, warzywa, nabiał, sypkie, trochę procentów i coś słodkiego. Przy kasie odkrywasz jednak, że ktoś cię ubiegł. Widoczny wcześniej termin jest już dla ciebie niedostępny. *I tylko k... i k...*

Okazja pojawia się jeszcze tego samego dnia. Dwie godziny później z czapy sprawdzasz stronę z czterema marketami i widzisz termin na następny dzień. Ładujesz do koszyka banana i pędzisz do kasy. Jest! Udało się! Termin zaklepany!

Dostawca zjawia się następnego dnia z godzinną obuwą.

W odwodzie zostaje już tylko wirtualny targ, ale i wiążący się z nim bezpośredni kontakt z klamkami, guzikami w windzie i drugim człowiekiem. W pierwszym sklepie internetowym widzisz jedynie konserwy i żarcie dla kota. Drugi na liście dowozi jedynie w stolicy, bo dostawę kurierem wstrzymano na bliżej nieokreślony czas. Wreszcie w trzecim udaje ci się zrobić zakupy, przy kasie orientujesz się jednak, że dostawa nastąpi dopiero za miesiąc. Trudno, płacisz i szukasz dalej.

Na koniec dnia przypominasz sobie o jeszcze jednym wirtualnym targu.

W przeciwieństwie do tego od klamek, windy i ludzi ci dowożą wprost pod drzwi zamawiającego i to w każdą sobotę. Wchodzisz i zaczynasz pakować do koszyka to, co znajdziesz na stronie. A nie ma tego dużo. Z owoców tylko jabłka, z warzyw jedynie cebula, ziemniaki, buraki, włoszczyzna, trochę ziół. W daniach gotowych królują krokiety i pierogi. Przed świętami Bożego Narodzenia kosztowały 14,50 zł za paczkę, dziś są już po 22,50 zł.

Opuśczaś gotowce, bierzesz warzywa, trochę mięsa, jaja. Rezygnujesz też z nabiału i wszystkiego tego, czego przed podaniem nie można poddać obróbce termicznej. Podajesz adres dostawy, płacisz i gotowe.

Wieczorem odpuszczasz wino i Netfliksa. Za dużo wrażeń jak na jeden dzień...

KAROLINA CHŁOŃ



Kultura prefiguratywna jest zrewolucjonizowaną rzeczywistością, w jakiej się obecnie obracamy

Rodzice nastolatków nie mają racji

Wracam zatłoczonym autobusem z zajęć dodatkowych prosto na uczelnię. Za rok skończę pierwsze studia. Podróże komunikacją miejską są świetnym miejscem do układania wybujałych historyjek o mnie samej, będących czymś powszechnie znanym jako „plan na życie”. Wybiorę się na psychologię, założę kanał na YouTube, ale zanim to zrobię, wyjadę do Azji na badania terenowe, a może napiszę reportaż...

– Rozumiesz pani, że ta stara prukwa ma pięćdziesiąt lat i tylko dwadzieścia pięć lat pracy? Co za nierób to musi być, co za leser! – słyszę z ust tłusto wymalowanych PRL-owskim różem otoczonych przez zmarszczki wywołane z pewnością intensywnym zaciskaniem warg. Nawet teraz obca kobieta je zaciska, ale półgębkiem syczy obelgami i wypluwa coraz to barwniejsze opowiadki o swej niedoli.

Jedno tylko jej w życiu się udało...

– Jakiego to chłopca, pani, mojej córce, znalazłam. Robotny, ugotuje, posprząta. Córka tylko z dziećmi siedzi. Nigdzie pracować, szkolić się nie musi. Jak tylko go zobaczyłam – bo to syn koleżanki z zakładu – od razu mówię: „O! To będzie chłop...”.

Potem towarzysząca podróży zaczęła opowiadać o chorobach. Wtedy przestałam jej słuchać i pomyślałam o tragicznym losie, jaki spotkał jej córkę.

Pojęcie *kultura prefiguratywna* lub – jak kto woli – *kultura zagadkowych dzieci* wymyśliła antropolożka Margaret Mead, badająca głównie pierwotne społeczności Samoa. Określiła je jako postfiguratywne, czyli takie, w których to starszyzna przekazuje młodym wiedzę zdobytą od dziadków. Skoro ktoś żyje dłużej, to jest naturalne, że życie zna lepiej niż niedawno jeszcze jedząca piasek latorośl.

Współcześnie przeżywamy zupełny przewrót wartości uznawanych niegdyś za naturalne i oczywiste. Kiedy mówię, że istnienie Boga można, a nawet coraz liczniej się podważa, a mężczyznę przebijającego się za kobietę określa się jako niebinarnego, prababcia opuszcza z rezygnacją ręce, a mój ośmioletni brat patrzy na mnie, jak-

bym przespała jakiś kluczowy etap edukacji i samorozwoju i wręcz pyta z pogardą:

„To nie wiesz, że takie rzeczy się normalnie robi w X-com aplikacji?”.

Kultura prefiguratywna jest właśnie ową zrewolucjonizowaną rzeczywistością, w której się obecnie obracamy. Młodszy i odważniejszy, bogatszy i żyjący w mieście wkraczają w nią pewnym krokiem. Osiedlowe matrony, fundamentalści światopoglądu wiejskiego, rozdrapujące starych ran, sprzymierzeńcy krzyża w sejmie, klucznicy starego dobrego porządku, w którym dzieci, kobiety i ci nieprawdziwi mężczyźni (nie z piwa i z kielbasy) głosu raczej nie mają.

Obserwatorzy są biegłymi interpretatorami współczesnych zjawisk kulturowych, osądzają i kategoryzują zdarcia zza szyby przez pryzmat klucza. Owym kluczem



jest przewracająca się w grobie przeszłość. Opisana wyżej kobieta z autobusu zaciskała usta pomalowane PRL-owską szminką, cały swój PRL-owski światopogląd, manifestując ową postawę sztandarowym różem na wargach. Do komunistycznego szamba wrzuciła córkę i zięcia, połknęła tego lesera z dwudziestopięcioletnim stażem i zacisnęła usta. Z takim bagażem w żołądku nie stąpa się lekko po nowoczesnym gruncie.

Zwykło się mówić: *jaka córka, taka matka*. Dlatego wracam dzisiaj autobusem z zajęć dodatkowych prosto na uczelnię. Za rok skończę pierwsze studia i nie będą one z pewnością ostatnimi...

KLAUDIA MAKLES

Po kilku dniach szału, popłochu oraz niepewności, z powodu której ludzie często jedzą więcej, zapasy pożywienia w domu zaczęły się kończyć. Należało więc powołać radę domowników, wybrać przewodniczącego i wytypować osobę, która będzie zmuszona opuścić bezpieczne mury i udać się na front, tj. do sklepu oddalonego od domu mniej więcej o 150 m

PANDEMIA

2.0,

czyli życie z Panem Wirusem

50

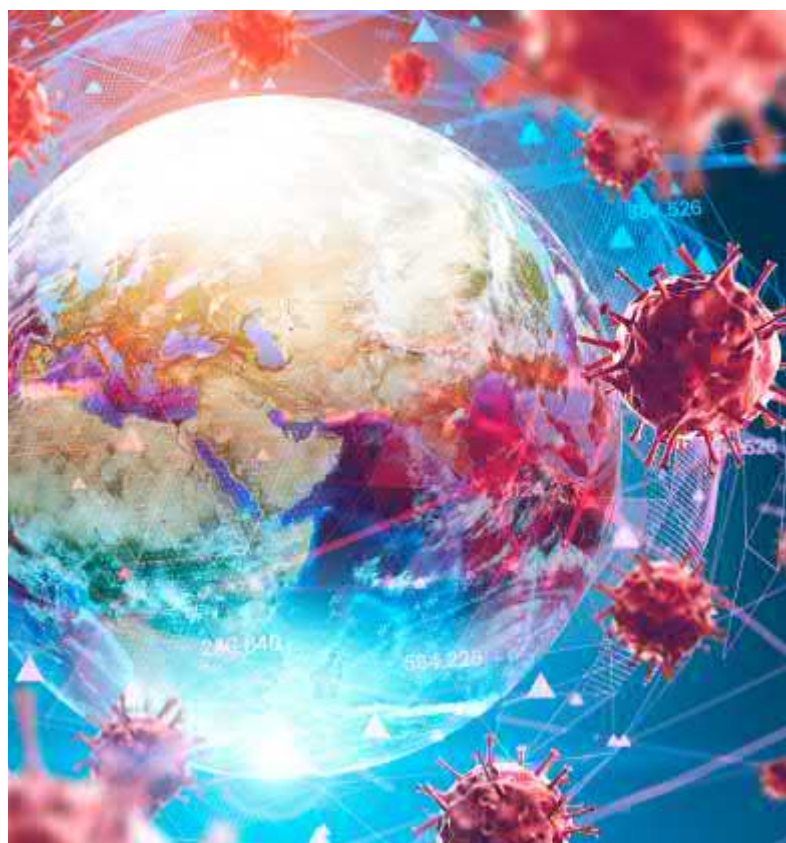
Będzie to krótka historia o Panu Wirusie, który zapanował nad światem, zbliżył Polaków, zjednoczył rodziny i na zawsze zmienił nasz piękny kraj.

11 marca br. dotarła do wszystkich wiadomość, że podwoje uniwersytetów zostają zamknięte do odwołania. Muszę się przyznać, że początkowo ucieszyłam się z perspektywy otrzymania kilku tygodni dodatkowego wolnego.

Zupełnie bezrefleksyjnie przyjmowałam zalecenia kierowane z góry, wychodząc z założenia, że są tam przecież specjaliści i wszelkie decyzje podejmuje się w dobrej wierze. W związku z tym starałam się nie wychodzić z domu, myłam ręce siedemnaście razy dziennie i wykupiłam – zgodnie z zaleceniami – zapas spirytusu.

Po kilku dniach szału, popłochu oraz niepewności, z powodu której ludzie często jedzą więcej, zapasy pożywienia w domu zaczęły się kończyć. Należało więc powołać radę domowników, wybrać przewodniczącego i wytypować osobę, która będzie zmuszona opuścić bezpieczne mury i udać się na front, tj. do sklepu oddalonego od domu mniej więcej o 150 m.

Po burzliwych dyskusjach, wytykaniu wszelkich błędów przeszłości oraz sprawdzeniu, kto jest najbardziej z ekonomicznego punktu widzenia użyteczny dla wspólnoty do-



mowej, padło na młodszego ode mnie o 8 lat brata. Na początku baliśmy się, że może już nie wrócić taki sam, ale było to ryzyko, które musieliśmy w tamtej chwili ponieść. Potrzebowaliśmy w końcu prowiantu na kolejne tygodnie kwarantanny.

Mama ucałowała brata w głowę, ojciec poklepał go po ramieniu, ja stałam bez słowa, kiedy wychodził. Nieoczekiwanie, ku naszemu zaskoczeniu, po 20 minutach młody stanął w drzwiach, dzierżąc dumnie w rękach reklamówki z zakupami i rulon papieru toaletowego. Na pierwszy rzut oka wyglądał zupełnie normalnie, może trochę głupawo, ale to mnie specjalnie nie zdziwiło, zważywszy na fakt, że przez większość czasu jego twarz ma raczej wyraz myśli nieskalany.

Po chwili jednak spostrzegłam zmianę w jego postawie – stał jakby mężniej, dumniej. Ciekawa powodu przemiany, zapytałam: „No i jak?”.



Wszyscy w skupieniu oczekiwaliśmy odpowiedzi, napięcie rosło. Brat odparł: „Wyrwałem go, wyszarpałem ostatkiem sił”, unosząc papier toaletowy w geście triumfu. Z krótkiej relacji wynikało, że ów produkt stał się towarem luksusowym, razem z żelami do dezynfekcji i suchym prowiantem, wywindowany do rangi świętego Graala, którego zdobywca może być tylko jeden.

Młody powiedział również, że w sklepie spotkał ludzi z całej wioski, z żebrakami i ich psami! Najpierw pomyślałam, że to świetna wiadomość, bo ostatnio integrację społeczności wiejskiej dostrzegałam jedynie na festynie dożynkowym, nie licząc spotkań niedzielnych w kościele. Po chwili jednak nasza mnie myśl:

„Jak to jest? Można się zarazić na uniwersytecie, ale nie można w sklepie ABC u Teresy?”.

Wkrótce dotarła do nas wiadomość, że zamyka się lasy państwowe, ponieważ jest ok. 2000 osób zakażonych. Pomyślałam: „Czymże biedne sosny i świerki zawiniły?”. Ale potem potem przypominałam sobie o wcale nie tak dawnym konflikcie rządu z dzikami. „Czyżby znowu coś się stało?” – zastanowiło mnie. Z bólem serca zaakceptowałam ową decyzję i odepuściłam jedyną rozrywkę, czyli chodzenie do lasu na poranne spacery.

Dowiedziałam się również, że mam zupełnie zaprzestać wychodzenia z domu, chyba że staje się to konieczne. Nie wolno mi wychodzić na spacer z psem, do sklepu, do pracy, by pomóc babci, jej sąsadowi lub komukolwiek, kto akurat tego wymaga.

Regularnie odwiedzałam stronę Ministerstwa Zdrowia, żeby być na bieżąco z zaleceniami. Nie śledziłam zbyt wiele obrad Sejmu, chociaż obito mi się o uszy, że podobno w nocy wprowadzono ważne ustawy; pomyślałam wtedy, że współczuję ludziom, którzy muszą się tak poświęcać i pracować, kiedy wirus akurat śpi, żeby się niepotrzebnie nie narażać.

Któregoś dnia pojawiła się informacja o obowiązkowym noszeniu maseczki na twarzy. Jednocześnie nic już nie mówiono o tym, że ów ochroniacz wywołuje niekiedy zakażenie bakteryjne płuc. Postanowiłam kupić sobie modne maseczki w kotki czy kropki. Od tamtego czasu chodziłam z psem na

spacer w maseczce i wyobrażałam sobie zawiedzioną minę Pana Wirusa, który nie był w stanie nic mi zrobić.

Czas mijał, a mnie doskwierało to, że nie spotykam się z przyjaciółmi i rodziną. Czułam się coraz bardziej samotna i opuszczona, jednak nie narzekałam, bo przecież nie tylko ja pozostawałam w takiej sytuacji. Wszyscy czuli się jakoś nieswojo i samotnie.

Wyjątkowo, jak gdyby nigdy nic, odbywały się za to obchody uroczystości państwowych z okazji rocznicy katastrofy smoleńskiej. Widziałam smutek na twarzy pana prezesa podczas przemarszu z grupą pięćdziesięciu osób pod pomnik, a potem na cmentarz, który w zasadzie zamknięto dla odwiedzających, ale wtedy akurat otwarto.

Nie rozumiałam fali krytyki, która spadła na partię rządzącą. Chodziło przecież o obowiązki państwowe, a nie prywatne zachcianki! Niestety, nie mogłam się łączyć z nimi w bólu, bo podczas transmisji zadzwoniła do mnie babcia, której po raz kolejny musiałam wyjaśnić, że nie może iść do kościoła, bo jest zamknięty.

Któregoś dnia (po 40 dniach kwarantanny przestałam już je liczyć, więc nie pamiętam dokładnie, kiedy to było) postanowiłam się zagłębić w kwestię choroby, która opanowała świat. Chciałam sprawdzić, co o niej wiemy, a czego nie.

Na szczęście temat okazał się przejrzysty i prosty do zrozumienia, gdyż naukowcy udowodnili (nie wiem jacy, ale pewnie amerykańscy), że wirus może wywoływać gorączkę, kaszel i ból głowy (to dosyć specyficzne i charakterystyczne objawy, więc trudno go pomylić z czymś innym), powodować duszności (nie zazdroszczę astmatykom), a ponadto wywołać biegunkę, wymioty, utratę poczucia smaku. I zdarza się, że wszystko łapie człowieka równocześnie lub omija.

Tak więc już wiem! Daje się uniknąć Pana Wirusa, gdyż nie przenosi się w trakcie spaceru z psem lub jazdy tramwajem czy autobusem. Przestał się również panoszyć po lasach, ponieważ te znowu zostały otwarte. Pan Wirus nie daje też rady w sklepach.

Słowem – nie taka ta zaraza straszna, jak ją malują w mass mediach...

Podjęto u nas niedawno decyzję o przemianowaniu ulicy *Światła* na *Ciemną*, ulicy *Morelowej* na *Kasztanową*, a ulicy *Iwana i Jurija Lypów* na *Pszenina*. Powodu oczywiście nie podano

Jak umilić ludziom życie...

Nasz ukraiński naród władze lokalne (najwyższe zresztą także...) lubi określać niekiedy dosadnymi epitetami: że są niemądre i nieodpowiedzialne. Oto przykłady na to, że owo stwierdzenie wcale nie jest pozbawione prawdy...

Podjęto u nas niedawno decyzję o przemianowaniu ulicy *Światła* na *Ciemna*, ulicy *Morelowa* na *Kasztanowa*, a ulicy *Iwana i Jurija Lypów* na *Pszenina*. Powodu oczywiście nie podano, ale wiem, że to działanie mocno nieprzemyślane, które spowoduje, że trzeba będzie wymienić wszelkie dokumenty i poinformować rodzinę oraz znajomych, że odtąd mieszka się niby tam, gdzie się mieszkało, ale jednak gdzie indziej.

Osoby niezadowolone z owej „innowacji” próbowały dostać się niedawno na posiedzenie rady lokalnej, by zaprotestować przeciwko tej arbitralnej, z nikim niekonsultowanej decyzji, lecz ochroniarze na to nie pozwolili, częstując ludzi gazem pieprzowym.

Nadając ulicom nowe miano, włodarze naszego miasta zbagatelizowały to, że dziesiątki, jeśli nie setki mieszkańców zmuszone będą odwiedzić magistrat, a nierzadko stać w długich kolejkach, by załatwić sprawę przemeldowania się nie z własnej winy z ulicy *Światła* na *Ciemną*, ulicy *Morelowej* na *Kasztanową* czy ulicy *Iwana i Jurija Lypów* na *Pszenina*. I jeszcze za to zapłacić. A ile będzie kosztowała sama wymiana szyldów na budynkach, lepiej nie próbować tego samemu ustalać!

Ciekawa jestem, czy gdy w pobliżu innej ulicy za jakiś czas ekipy remontowe wytną wszystkie kasztanowce, to czy komuś znowu nie przyjdzie nagle do głowy, by z owej ulicy *Kasztanowej* zrobić ulicę *Pieńkową*? Wcale bym się nie dziwiła, gdyby tak się stało...

Tak sobie myślę, nie kryjąc irytacji, że urzędnikom może chodzić wyłącznie o to, by dofinansować co nieco swój urzędniczy budżet, albo chcą dać zarobić sporo hrywien temu czy innemu przedsiębiorcy, monopolistom w produkcji szyldów, będącym dobrym znajomym tego czy innego urzędnika. A później otrzymają (rzecz jasna po cichu) „działkę” za okazaną wdzięczność od biznesmena z Bożej

łaski...

Takie nieoczekiwane przez nikogo „zmiany” dotyczą zresztą nie tylko wyżej opisanej historii. Ostatnio otrzymałam na przykład nowe instrukcje uiszczania opłat, przysłane przez przedsiębiorstwa energetyczne i wodnokanalizacyjne. Są, jakżeby inaczej, także zaktualizowane dokumenty i sugestie, jak najlepiej i kiedy płacić za media. I znowu wiąże się to z dodatkowymi wydatkami...

Cóż, nie mam niestety wyjścia. Zapewniam, że będę jak zawsze przyjmować wszystko, co nowe do wiadomości, radośnie stać w kolejkach i opłacać faktury. I głośno chwalić władze lokalne za uatrakcyjnianie mi życia. Przecież w naszym, ponoć demokratycznym, kraju tak właśnie trzeba postępować, prawda? Będzie się wówczas naprawdę szczęśliwym człowiekiem, pozbawionym wszelkich trosk życia codziennego!

ANNA SEIMIVSKA



Żyjemy w czasach, kiedy to słynna książka George'a Orwella *Rok 1984* staje się powoli egzemplifikacją tego, co się współcześnie w naszym kraju wyprawia...

CYRK

między celą a spacerkiem



Film komediowy produkcji amerykańskiej w reżyserii Denisa Dugana sprzed dziesięciu lat *Duże dzieci* z Adamem Sandlerem, Chrisem Rockiem, Kevinem Jamesem oraz Salma Hayek czy śmieszne wybory prezydenckie w Polsce na życzenia Jarosława Kaczyńskiego przeprowadzenie w czasie epidemii covid-19?

Komedia ma rozbawić. Jeśli jest udana, potrafi rozśmieszyć do łez. Ale niekoniecznie jej bohatera. Przykładem takiej właśnie komedii są *Wakacje Jasia Fasoli* w reżyserii Steve'a Bendelacka z Rovaniem Atkinsonem w roli głównej z 2007 roku.

Tak się złożyło się, że nasz kraj doczekał się swojego odpowiednika tego pokroju – wyborów prezydenckich 2020 w okresie, kiedy boimy się jak nigdy o zdrowie swoje i najbliższych.

Niestety, ów drugi przypadek to przykład zdecydowanie nieudanej komedii, która nie bawi ani bohatera, ani tym bardziej widza.

Kilka miesięcy temu niemal skazani zostaliśmy na areszt. Ale areszt wyjątkowy, bo w domu. Czy jest on na pewno lepszy od tego w zakładzie karnym? Skazaniec ma prawo wyjścia raz dziennie na spacer, a kwarantanna w bloku ograniczona została jedynie do wyjścia z mieszkania wyrzucić śmieci, co niespodziewanie podczas epidemii mocno polubiłem.

Postanowiłem nawet segregować odpady i wcale nie robiłem tego dla ratowania środowiska ani czystego powietrza na świecie, ale po to, by móc wyjść na dwór kilka razy dziennie!

Znudzony trochę kursowaniem do śmietnika z każdą butelką, zmieniłem w końcu miejsce aresztu w domu na spacer na świeżym powietrzu, kiedy tylko zapagnę. Działka na wsi wydawała mi się rozwiązaniem idealnym,

wolnością w pandemicznym „Alcatraz”. Zamieszkałem z najstarszym pokoleniem w rodzinie, które ślepo wierzy w to, że liczba 24 w nazwie stacji TVN 24 każe całonocowo śledzić wydarzenia w kraju i na świecie.

Obserwując ludzi żyjących zarówno w osiedlowych celach, jak i w środowisku własnych spacerów, doszedłem do wniosku, że znacznie się oni od siebie różnią. Ale też mają trochę cech wspólnych, np. poczucie obowiązku.

Niezależnie od tego, czy uprawia się rolę, czy pracuje w korporacji, obowiązkiem każdego dorosłego jest utrzymanie rodziny, a w przypadku zagrożenia – jej ochrona. I tak się na szczęście dzieje.

Naród jest naszym dzieckiem, a jego wychowanie to trudny i długotrwały proces. Dziecko naśladuje zachowania rodziców. Jeśli są oni ludźmi dobrymi, latorośl to widzi i ową dobroć odwzajemnia. Jeśli człowiek rządzący narodem przekłada swą żądzę władzy nad dobro i zdrowie całego społeczeństwa, to nie dzieje się dobrze. Naród to zapamięta i w stosownym czasie przeciwko temu zaprotestuje nie na żarty.

Żyjemy w czasach, kiedy to słynna książka George'a Orwella *Rok 1984* staje się powoli egzemplifikacją tego, co się współcześnie w naszym kraju wyprawia. Zgadając się na wybory w okresie panującej epidemii i wciąż wysokiej liczby zachorowań na covid-19, pozwoliliśmy decydować państwu o tym, jaki kolor ma mieć nasza szczoteczka do zębów leżąca na półce w łazience.

Obyśmy po ustaniu zarazy (żeby nastąpiło to jak najszybciej...) nie musieli znów wybierać między celą a spacerkiem, tym razem już w politycznym znaczeniu tego słowa.

MACIEJ WITWICKI

Odetchnęłam z ulgą, kiedy w pierwszej dziesiątce imion męskich zabrakło Zenona...

Zbyszek! Jak Wodecki!

54

Jednym z niewielu plusów kwarantanny i pracy w domu jest możliwość słuchania radia. Korzystając z tego rzadkiego w korporacyjnym życiu luksusu, dowiedziałam się, że Polska ma nowego obywatela o nietuzinkowym imieniu. Nergal, bo tak ma na imię malec, otrzymał je na cześć lidera deathmetalowego zespołu *Behemoth*.

Rodzice, jak łatwo się domyślić – fani zespołu, tłumacząc swoją decyzję ogromną sympatią do artysty.

Początkowo niecodzienna wiadomość nie zrobiła na mnie większego wrażenia, była wręcz zabawną odskocznią od złych wieści i mrocznych statystyk.

Refleksja na temat nowego obywatela naszego kraju na-szła mnie jeszcze tego samego dnia. Okazało się, że mój nowy i niezbyt cichy sąsiad jest wielbicielem z goła innego gatunku muzycznego niż ja. Nasunęła mi się wówczas myśl: czy fani muzyki disco polo również kierują się sympatią do jakiegoś artysty, wybierając imię dla swojego potomka?

Zerwałam się z łóżka, po omacku odnalazłam komputer i postanowiłam sprawdzić, jak przedstawia się ranking najpopularniejszych imion nadawanych dzieciom.

W statystykach za rok 2019 dominują Antoni i Zuzanna, a jednym z najpopularniejszych polskich imion jest także Adam, czyli prawdziwe imię Nergala. Odetchnęłam z ulgą, kiedy w pierwszej dziesiątce imion męskich zabrakło Zenona. W żadnym wypadku nie mam zamiaru piętnować Zenków. Ba, nie planuję nawet krytykować dokonań muzycznych najpopularniejszego Zenka w Polsce, choć prywatnie zdecydowanie bliżej mi do twórczości Nergala.

W 2019 roku Grupa Havas oraz Universal Music Polska przeprowadziły badanie pn. *Fans. Passions. Brands*, którego celem było zbadanie preferencji Polaków w obszarze muzyki. Z przeprowadzonych ankiet wynika, że Polacy najchętniej słuchają hip-hopu, popu oraz disco polo.

O ile nie dziwi obecność dwóch pierwszych gatunków, o tyle ostatni jeszcze do niedawna był raczej powodem do żartów i kpin.

Jak do tego doszło? Nie wiem, ale muzyka disco polo przeżywa prawdziwy renesans. Pojawiają się kolejne kluby, stacje radiowe i telewizyjne nadające tylko ten rodzaj muzyki. Disco weszło na salony, szturmem przejmując polską telewizję, sale kinowe a nawet Stadion Narodowy w Warszawie. I niech pierwszy rzuci kamień ten, kto nigdy nie zanucił hitu Zenka Martyniuka *Przez Twe oczy zielone* w samochodzie lub pod prysznicem!

Stroimy sobie żarty z disco polo, piętnujemy gatunek i artystów za prymitywne teksty i prostotę utworów. Nie da się jednak nie zauważyć, że stało się ono w naszym kraju niemalże zjawiskiem historycznym. Takie zespoły, jak *Akcent* czy *Bayer Full* święciły pierwsze sukcesy w czasach transformacji lat 90. Dziś, po 30 prawie latach, nadal funkcjonują na discopolowej scenie i nagrywają kolejne hity.

W czasie trwającej kampanii nie można nie wspomnieć piosenki zespołu *Top One* (a może i jej zanucić) promującej Aleksandra Kwaśniewskiego w wyborach prezydenckich w 1995 roku. Niedawno pojawił się nawet pomysł utworzenia muzeum muzyki disco polo na Podlasiu. Można polemizować z wartością artystyczną gatunku, ale utrzymanie się tak długo na rynku muzycznym pozostaje godne podziwu.

Naród polski pozostaje podzielony. Nieważne, czy chodzi o politykę, mecze narodowej reprezentacji czy muzykę. W kraju oczu zielonych i majteczek w kropeczki niemal niemożliwe jest kupienie biletów na koncert takich rodzimych artystów, jak chociażby Dawid Podsiadło. Potrzeba zwinności i szybkości Usaina Bolta, żeby zakupić bilet na jedno z wydarzeń trasy „Męskie Granie”.

Niebotycznie wysokie ceny wejściówek na koncerty międzynarodowych gwiazd, takich jak *Metallica* czy *Pearl Jam*, również nie odstrasza. Polacy niezmiennie lubią słuchać ambitnych kompozycji i zaangażowanych społecznie oraz politycznie tekstów. Udowadnia to chociażby sukces wydanej niedawno płyty Kazika Staszewskiego „Zaraza”. Album z kultową już piosenką *Twój ból jest lepszy niż mój* w tydzień przed premierą uzyskał status złotej płyty, a niecałe dwa tygodnie po debiucie pokrył się platyną.

W jednej z najlepszych biografii muzycznych, jakie czytałam, autor napisał: „Jeśli coś Cię wzrusza, to Cię wzrusza i koniec, jakkolwiek sztuczne, płytkie czy przeciętniackie by to było”.

O gustach muzycznych, podobnie jak o dzieciach, nie powinno się dyskutować. Często rodzice to najbardziej zgorzali fani, uważający, że jedyna konstruktywna krytyka to ta pochodząca od nich samych. Nie ukrywam jednak, że kiedy znajoma zdradziła mi, iż zostanie mamą małego Zbyszka, odetchnęłam z ulgą i krzyknęłam do słuchawki: *Zbyszek! Jak Wodecki!*

DOMINIKA WIŚNIEWSKA



**Instytut Filologii Polskiej
Wydział Humanistyczny
Uniwersytet Pedagogiczny
im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie**

**ul. Podchorążych 2
30-084 Kraków
gmach główny, IV piętro, pokój nr 401**

tel. 12 662 61 47

e-mail: kd@up.krakow.pl

www.sd.up.krakow.pl



Takie magazyny pod nazwą **XYZ** przygotowują od pięciu lat na zakończenie zajęć słuchacze Kursów Dziennikarskich w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Pedagogicznego im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie pod kierunkiem kierownika dr. hab. Macieja MALINOWSKIEGO. Najpierw jednak artykuły muszą uzyskać akceptację wykładowców prowadzących zajęcia z reportażu (red. Leszek RAFALSKI), wywiadu (dr hab. Maciej MALINOWSKI), recenzji (dr Marian TOPOREK) i felietonu (dr Edward CHUDZIŃSKI). Szata graficzna magazynów **XYZ** to dzieło autorskie Joanny SROKI, graficzki pracującej wiele lat w Oficynie Wydawniczej Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego.